№ 36 Warszawa, dnia 23 Sierpnia (4 Września) roku 1880.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Z WYCIECZKI
Na Święty Krzyż i w Kieleckie.

Kilka wspomnień

spisał

Juliusz Chodorowicz.

(Dalszy ciąg).

Z godzinę wszakże jechaliśmy drogą piekielną. Wyboje i grunt kamienisty ciągnęły się do samej niemal Św. Katarzyny. Sowicie za to wynagrodzeni, staliśmy tutaj ze trzy godziny... Św. Katarzyna, malutka wioseczka kościelna, wśród lasu pokrywającego stoki Łysicy, leży przy trakcie Ś-to Krzyzkiego do Kielc. Partykularz to straszny, droga mało uczęszczana, lubo prześliczna, ze względu na czarujące w idoki dokoła. Kilkanaście chat wieśniaczych, malowniczo tu i owdzie rozsianych, przed i po za klasztorem PP. Bernardynek, pola nie zbyt urodzajne, jak w ogóle w Kieleckiem, ogrody warzywne, ot i wszystko. A jednak coś nas pociąga do zakątku tego... Smętne i miłe razem ogarnia uczucie, gdy wyjdzie się na gościniec i rzuci okiem w czarną głąb' boru... roićby tu, zda się, brylantowe wiano... Mój towarzysz zapytuje o znajomą sobie jedną z siostr zakonnych na Św. Katarzynie. Jest w klasztorze i zdrowa, odpowiada szynkareczka. Naturalnie, nie tracąc czasu, udajemy się do kościołka. Może nas przyjmą w klasztorze, a nie, to choć kościół obejrzymy... o kilkadziesiąt kroków za karczemką, przy samym gościńcu wznosi się pięknej struktury kościołek i klasztor PP. Bernardynek. Starannie utrzymywany, w dobrym stylu, gmach klasztorny i świątynia pod wezwaniem Św. Katarzyny, zdaje się garnąć pod skrzydła swoje wędrowca... Na frontonie kościoła godło Opatrzności i nadpis: „Królowi wieków, Nieśmiertelnemu i Niewidzialnemu“, oraz data odnowienia domu Bożego w 1847 roku. Po kilku schodkach kamiennych wchodzimy do przedsionka świątyni. Z po za kraty żelaznej widzimy środkową nawę kościoła, ołtarze i kaplice jego. Posuwamy się dalej, cisza tu grobowa w korytarzu klasztornym, chociaż to godziny popołudniowe brzęczenie muszki słychać, odległem więc echem kroki się nasze rozlegają... Milczenie, życie kontenplacyjne w całem słowa tego znaczeniu... Snujemy się jak duchy błędne, po krużgankach, aż wreszcie dobijamy się refektarza klasztornego.

— Co to! woła mój towarzysz, wymarło tu wszystko... czy co u Boga!

— Pst! dolatuje nas z po za kraty urywana rozmowa... otwarłszy więc okienko, pytam nieśmiało:

— Możnaby się też widzieć z siostrą Cherubiną?

Patrzę, mierzy nas bystro okiem, jakaś pyzata... służąca zapewne klasztorna. Tuż za nią w pół cieniu, rysuje mi się sylwetka siostry zakonnej w czarnym habicie. Pozdrawiam ją uprzejmie...

— Panowie będą łaskawi do *parlatoryum*... Siostra Cherubina służyć będzie za chwilę...

Nie minął i kwadrans w istocie, a już na dobre gawędziliśmy ze staruszką. Siostra Cherubina, to kronika żyjąca klasztoru swojego, mimo 73 lat wieku, pełna jeszcze siły i zasobów moralnych. Obejście jej proste i nie wymuszone; dowcip rodzimy i humor, wygasłe pokolenia matron naszych przypominający, zdrowy przytem sąd o rzeczach, rozmowę jej przyjemną czynią i pożyteczną.

— Proszę ja panów, zawołała staruszka, pięćdziesiąt trzy lat klepię już pacierze i śpiewam na chórach klasztornych, mogłoby się od ludzi odwyknąć, nieprawdaż? Kocham ja ich jednak, interesuje mię świat ten boży... życzę mu najlepiej z po za kraty klasztornej...

Szczerość ta Siostry Cherubiny, nastręcza nam temat do przeróżnych uwag i wniosków, stała się kanwą, na której sporośmy haftowali spostrzeżeń o życiu i prawdzie, jaką zeń wyciągnąć można... Wkrótce, rozmowa zeszła na kościół i klasztor tutejszy.

— Zgromadzenie nasze, mówiła, zaledwie od lat trzydziestu egzystuje tu na Św. Katarzynie. Professką, a nawet siostrą zakonną byłam dość długo w Drzewicy, w Opoczyńskiem, gdzie od niepamiętnych czasów Bernardynki się utrzymały. OO. Bernardyni chwałę Pańską przed nami tutaj głosili. Skasowano ich i tylko ks. kapelan nam pozostał... Zmarło się i jemu...

— A zgromadzenie zakonne jak liczne na Św. Katarzynie? spytałem z kolei.

— Smutno i wyznać, ocierając łzę, rzekła staruszka.—Z trzydziestu kilku, zostało nas tu wszystkiego trzynaście siostr... do wymarcia; rozumie się bo nie masz nowicyatu.

Siostry jednak zakonne żyją długo. Niedawno zmarła przełożona na Św. Katarzynie, dożyła 94 lat.

Wniesiono kawę i sporo na talerzykach sucharków i tłuczeńców.

— Krzepiąc ducha i o grzesznem nie zapominaj ciele, jowialnie zachęcała nas przezacna siostra. Przysmaków tu u nas w klasztorze nie znajdzie... ale i głodu nie masz...

— Pamiętamy o *naszym ośle*, szanowna pani... do zbytku może pamiętamy, pałaszując w najlepsze, żart odparłem żarcikiem.

— Jegomość, widzę, zna dzieła Św. Biskupa z Chambéry? uśmiechnęła się staruszka.

— Tak... trochę... z dziecinnych lat... Nieboszczka nawet ciotka moja, świątobliwa niewiasta, całe życie swoje po jednym codzień czytywała rozdziale z „Drogi do życia pobożnego.“

— Kiedy już tu spadliście nam panowie, mówiła

dalej matrona, warto odwiedzić kościół, kapliczkę zobaczyć w lesie, napić się wody ze zdroju...

Kościołek tutejszy znanym już był w kraju w XVI wieku. W starych aktach i dyplomatach z owych czasów znajduje się wzmianka o kościele na Św. Katarzynie. W XVII stóleciu sławę jego roznioslo po całej Rzeczypospolitej cudowne uzdrowienie króla Władysława IV, Monarcha ten, długi czas upartą febrą, tercyanną dręczony, zwątpiwszy o życiu, za namową jednego z przybocznych Broniowskiego z Koprzywnicy, Świętej ofiarował się Katarzynie. Słuchając tedy nabożeństwa przed jej ołtarzem, raptem odzyskał siły, tak, że w dni kilka wojennej przewodniczyć już mógł wyprawie... W kościele zobaczycie obraz Św. Patronki naszej, na cyprysowem malowany drzewie. Sprowadzono go z Egiptu, uważajcie tam również grobowce Broniowskich. Miałam w ręku stary raptularz nieznaną pisany ręką: pełno tam szczegółów o Św. Katarzynie. Słówko więc jeszcze o Broniowskich. Można ta i bogobojna rodzina w XVII wieku zamieszkiwała wSandomierskiej ziemi. Gniazdem Broniowskich była wieś Koprzywnica, niedaleko Sandomierza. Razu pewnego, pan na Koprzywnicy, przejeżdżając wraz z małżonką i małem dwuletniem dziecięciem przez Św. Katarzynę, jakby przeczuciem wiedziony, wciąż upominał siedzącą na przodzie w *kolebce* piastunkę, by pilnowała dobrze trzymaną na ręku dziecinę. Droga na wzgórzu stromą wiła się ścieżką. Zdrzemnęła się jednak niebaczna kobieta, i z rąk upuściwszy dziecię, jęk tylko wydała bolesny. Było już po niewczasie. Struchleli rodzice, powóz wstrzymano, po to jedynie, by martwe już oglądać zwłoki jedynaczki. Wyczerpawszy wszelkie środki ratunku, nieszczęsna matka, cudu iście wyglądając, skarb swój składa na ołtarzu Św. Katarzyny. Modlą się kapłani, zanosząc się od płaczu, błaga też Boga sama Broniowska. Skończona litania, dziecina daje znak życia, oczy otwiera, wyciąga rączyny do matki. Wskrzesiła więc zmarłą święta jej patronka, dziecięciu bowiem na imię było Katarzyna. Ofiarowano Bogu jedynaczkę i rosła odtąd na chlubę rodzicom. Upłynęło lat kilkanaście, dziewczę kraśniało wdziękiem i przymiotami duszy. O bogatej dziedziczce szeroko rozprawiano w okolicy, nie jeden z młodzieży szczerym zapałał dla niej affektem. Próżne jednak były ich chęci: rodzice pamiętali o ślubie. Aż zjechał kiedyś do Koprzywnicy kolligaj Broniowskich, także Broniowski, dzielny rycerz i mąż wielce w kraju zasłużony. Człek to już był posunięty w lata, zdrów wszakże i męzkiej prawdziwie piękności. Człek strzela a Bóg kule nosi, Broniowski nasz rozkochał się w pokrewnej sobie Kasi. Gdy przyszło do zwierzeń wzajemnych, stara wyszła na jaw piosenka. Bolał ciężko rodzic sędziwy, dręczyła się matka tajemnie, Kasia tylko jedna z czołem rozpogodzonem Chrystusową zostać oblubienicą pragnęła. W stanowczej tedy chwili oświadcza nasz wojownik rodzicom panny, iż dziwnem zrządzeniem Bożem, w dzieciństwie również doznawszy cudu, Bogu ofiarowany, ślub wykonał dozgonnej czystości. Że następnie, w różnych życia kolejach, ślubu dotrzymał, jak na prawego szlachcica przystało.

— Sądzicież jako wola wasza, miłościwi państwo, zakończył wyznanie: dziś, córkę waszą poślubić życzę, władza więc najwyższa niechaj losy nasze rozstrzygnie. Stało się jako rzekł Broniowski. Zebrani na radę duchowni, rzecz całą rzymskiej przedłożyli kuryi. Rozwiązał Namiestnik Chrystusowy losy dwojga tych ludzi na ziemi. Wprędce mirtowy wieniec okalał czoło przygotowującej się już do obłuczyn zakonnych dziewicy. Broniowscy hojnie uposażyli kościół i klasztor na Św. Katarzynie, a schodząc ze świata w miłości i pokoju, tutaj też na wieki spoczęli. Przed kilkunastu laty, kapelan nasz ówczesny na Św. Katarzynie, świątobliwy staruszek, rozrzucone kości z przegniłych już trumien zebrawszy z podziemi kościelnych przeniósł i pochował w miejscowości nazwanej „Pszczelnik“, tuż pod lasem. Znaleziono tam podobno w grobach resztki śmiertelne Broniowskich. Należałoby tak wnosić z niektórych okoliczności, na palcu jednego ze szkieletów diamentowy świecił pierścień z cyfrą Broniowskiego, ułożoną z drogich kamyczków...

Nie długośmy już z siostrą Cherubiną w *parlatoryum* zostawali, wypadało wstąpić choćby na pacierz do kościołka, przejść się po lesie i myśléć o dalszej do Kielc wędrówce.

— Bywajcie mi zdrowi, moi panowie, przy rozstaniu się naszem mówiła staruszka, a pamiętajcie, jeśli was kiedy na Św. Katarzynę losy zapędzą, nie mijać klasztoru. Będę ja żywa, to znowu gawędkę palniemy, spocznę w podziemiu z siostrami... zmówcie pacierz za duszę Cherubiny. Do zabaczenia, idę na chór, bo oto już nasze godziny... Śpiewa tam młodzież, taka jak ja... Trochę to niby na mruczenie zakrawają te pienia pobożne.. Cóż robić? jak kto może i umie, aby chwała Boża nie ustawała...

Dolatywały nas z chóru urywane dźwięki, szeptanych modłów. Słoneczko, blizkie już zachodu, przez okna zaglądając łukowe, nawę oświecało kościelną.

— Miluchnaż to świątynia, zawołał mój towarzysz, czyściutko tu i wesoło... pełno kwiecia po ołtarzach.

— Czuć rękę niewieścią, odrzekłem z uśmiechem.

Oglądaliśmy grobowce Broniowskich. Legenda siostry Cherubiny uczyniła je dla nas poetycznemi nad wszelki wyraz. Niestety! pamiątki te wielce już zębem czasu szarpnięte, nadpisów wydecyfrować prawie niepodobna. Epitaphium Krzysztofa Broniowskiego, hieroglifowemi iście pokryte znaki... z tablicy Katarzyny Broniowskiej czterowiersz zaledwieśmy pochwycili:

„Mój małżonku! podle ciebie
Jam sobie siedlisko obrała,
Przysiągłam ci miłość, wiarę
Tożem ci je dotrzymała“...

. . . .

I ani literki więcej.—Syzyfowa praca! mruknąłem zgryźliwie. Starta, zużyta głoska, to dzwonek bez serca. Obejrzeliśmy z kolei na cyprysowem malowany drzewie zabytek sztuki, z Faraonów tu przeniesiony krainy: obraz Św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Piękna to pamiątka i cale dobrze się zachowała. Rzuciliśmy okiem na kilka skromniutkich, z poczuciem jednak estetycznem wzniesionych ołtarzy, i przesyłając w duchu serdeczne słówko córkom Św. Franciszka, przebiegliśmy na prędce, nie Hesperyjski wprawdzie, lecz wybornemi słynący owocami, ogród klasztorny. Wstąpiliśmy i do lasku. Tu, pod cieniem tęsknej jodły wsłuchani w tajemniczy szept dębów rozłożystych, spędziliśmy chwilę w kapliczce prastare uświęcającej wspomnienia. Miejscami opada już tynk ze ściany... i tam właśnie czytamy: „Szczyt moich cierpień zrównał się z tą górą“ cyfry M. H. 1862 r. Maż to być skarga wydziedziczonej w świecie istoty? To pewna, iż jedyny to nadpis, choć odrobinę przemawiający myśli... Ale czekają nas już podkarmione pegazy i grzebiąc kopytami grunt kamienisty, zdają się wyrzucać niepamięć o sobie. Dalej więc, dalej, do Kielc i Chęcin... Ze Św. Katarzyny liczą do Kielc lekkie trzy milki, przekonaliśmy się jednak, iż było ich trzy opętanych. (d. n.)

DO MOJEJ UKOCHANEJ.

Patrz kiedy na wsi wiosna zawita,
Zieloność w polach w koło odżyje!
Wonny fijołek w trawie rozkwita,
I krocie kwiatów łąki okryje.
I jak miłosne dziewic westchnienie,
Lekkie wietrzyka pieści je tchnienie,
Tu raj jest ziemski, tubym daleki
Od świata, żyć chciał z tobą na wieki.

Tu jest świątynią nieba sklepienie,
Gdzie słońce, księżyc, wiecznie przyświeca,
Gdzie ptaszki nucą dziękczynne pienie,
Wszystko unosi, wszystko zachwyca.
I każdy korne zgina kolana,
Wznosząc swe myśli, do Niebios Pana;
Tu raj jest ziemski, tubym daleki
Od świata, żyć chciał z tobą na wieki.

Tu czyste myśli jako przyroda,
I tak pogodne jak niebo w wiośnie
Tu całe życie duszy swoboda;
I bez łzy w oku, każdy radośnie,
Cuda natury z łatwością czyta,
W księdze co przed nim wiecznie rozwita:
Tu raj jest ziemski, tubym daleki,
Od świata żyć chciał, z tobą na wieki.

Ignacy Stopczański.

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg.)

Nieopodal dał się słyszeć odgłos kroków, Antonina poznała krok ten odrazu, po chwili hr. Laryński wyszedł z po za zielonego klombu. Panna Moriaz poszła ku niemu, a wziąwszy go za koniec rękawiczki którą trzymał w ręku, przyprowadziła aż do darniowej ławeczki.

— Nie potrzebuję przedstawiać was wzajemnie, moi panowie, znacie się już.

Może właśnie znali się już za dobrze, a niekiedy lepiej być całkiem obcym. Umiejący panować nad wyrazem swej twarzy Samuel Brohl, spróbował się uśmiechnąć, ale uśmiech ten, był raczej grymasem. Niezadowolenie jego nie miało granic, zastał bowiem na własnym gruncie człowieka, który miał zaszczyt mu się niepodobać. Ze swej strony Kamil musiał czynić nadludzkie wysiłki, aby ukłonić się grzecznie, potem usiedli obok siebie. Jeden patrzył w niebo, drugi szukał oczyma w piasku swego robaka, który zniknął dawno.

Panna Moriaz usiłowała przełamać lody, ale trudy jej były daremne, rozmowa rwała się co chwila. Widocznie nie lubią się, myślała, nie ma między nimi sympatyi, za bardzo różnią się we wszystkiem. Patrzyła na każdego z nich z kolei. Jeden zręczny, wysmukły, o długich blond włosach, niczem się niekrępujący, nie wyglądał na wiek jaki miał w istocie; wyraz jego twarzy był szczery i otwarty,

nie pozwalający nawet domyślać się. ile siły i woli było w tej młodzieńczej piersi, drugi o atletycznej postawie, z piękną, silnie osadzoną głową, z głębokiem spojrzeniem swych błyszczących i smętnych oczów, w których można było wyczytać historyą całego życia, pełnego trosk i walki. Ten jest poematem mego życia, którego pierwsze karty poznałam dopiero, myślała Antonina; tamten to jeden rozdział z idylli młodości, który zawsze z przyjemnością odczytywać będę... Ale dlaczego patrzą na siebie jak dwa fajansowe pieski? Trzeba będzie przecież żeby chcąc nie chcąc zrozumieli i polubili się kiedyś.

Trudne to zadanie rozmawiać jednocześnie z dwoma ludźmi którzy się nienawidzą, sto razy lepiej rozdzielić ich, co też uczynił pan Moriaz. Gdy się tylko ukazał na terasie, Kamil poszedł ku niemu, Antonina zaś pozostała z Samuelem, który rzekł do niej opryskliwie:

— Czy pan Langis ma zamiar wiekować tutaj?

— Ależ on dopiero co przybył odparła.

— Odprawisz go pani nie długo?

— Tak mało myślałam o odprawieniu go, że prosiłam by został na obiedzie, a uczyniłam to dla tego, abyście mieli sposobność poznać się bliżej.

— Dziękuję pani za jej dobre chęci, ale pan Langis nie podoba mi się.

— Cóż pan masz przeciwko niemu?

— Spotkałem go po kilka razy u pani de Lorcy i zawsze objawiał względem mnie wątpliwą grzeczność. Czuję w nim nieprzyjaciela.

— Co za wyobrażenia! Pan Langis jest moim przyjacielem od najmłodszych lat dzieciństwa, uprzedziłam go właśnie, że powinien kochać tych, których ja kocham.

— Wystrzegam się przyjaciół lat dziecinnych, odparł zapalając się. Nie zadziwiłbym się, gdyby ten młokos kochał się w pani.

— Gdybyś pan słyszał słowa które wyrzekł przed chwilą... Ten młokos przypomniał mi właśnie jak dwa lata temu prosił o moją rękę, i oznajmił mi w końcu, że czterdzieści ośm godzin wystarczyło mu, aby się pocieszyć po mojej odmowie.

— Nie wiedziałam że rzecz jest tak ważna, a osobistość tak niebezpieczna. I naprawdę zostaje tu na obiedzie?

— Zaprosiłam go, trudno odpraszać.

— Bardzo dobrze, ustępuję mu miejsca! zawołał Samuel powstając.

Antonina spojrzawszy na niego osłupiała z zadziwienia, twarz jego zmieniła się w jednej chwili. Ściągnięte brwi zarysowały ostre łuki, nadając całej twarzy wyraz ostry i nieprzyjemny. Był to Abel Laryński, jakiego jeszcze nie znała, a raczej nagle, ukazał się jej Samuel Brohl. Tak, Samuel Brohl wyszedł na scenę, nagle i niespodziewanie. Nie mogła oderwać od niego oczów, aż on spostrzegłszy jakie wywierał wrażenie, zamknął znów Samuela do kryjówki z jakiej na chwilę wyjrzał i na nowo prawdziwy Polak, stanął przed panną Moriaz i rzekł do niej poważnie, z odcieniem smutku:

— Przebacz mi pani, nie zawsze umiem panować nad doznanem wrażeniem.

— Więc pan zostajesz! zawołała.

— Nie mogę, jestem rozdrażniony, byłabyś pani niezadowoloną ze mnie.

Antonina nalegała, ale oparł się jej prośbom grzecznie, lecz stanowczo. Zasmuciło ją to niezmiernie. Od czterech tygodni serce jej żyło samem tylko szczęściem; kwiat w pełni rozwoju, przykro bywa dotknięty mroźnym wiatru powiewem, który ogałaca go z liści, drży z zimna i utraca siłę i barwy.

Panna Moriaz odprowadziła Samuela aż do furtki.

— Żegnam pana, rzekła, kiedyż się znów zobaczymy?

— Jutro, pojutrze .. nie wiem.

— Naprawdę nie wiesz kiedy?

Spostrzegł że oczy jej napełniły się łzami. Pokrył rękę jej pocałunkami i rzekł z uśmiechem, który ją trochę pocieszył:

— Po raz pierwszy sprzeczamy się; może nie mam słuszności, ale o ile mi się zdaję, gdybym był kobietą, niechętnie zostałbym żoną człowieka, który się nigdy nie myli.

Powiedziawszy to, raz jeszcze przekonał się, że oczy jej były zwilżone łzami i odszedł uradowany z wpływu jaki wywierał.

Gdy powróciła pan Langis zapytał:

— Czy to moja obecność wystraszyła pana Laryńskiego? byłbym niepocieszony.

— Nie lękaj się, odparła, przybył tu umyślnie, aby oznajmić mi, że dzisiejszy wieczór musi spędzić gdzieindziej.

Obiad nie był wcale ożywiony. Panna Moiseney była obrażoną na pana Langis, nie mogła bowiem przebaczyć mu, iż kilka razy wyśmiewał się z niej, co w jej mniemaniu, było jednym z grzechów głównych. Pan Moriaz chętnie widywał Kamila w swoim domu, lecz w głębi duszy powtarzał sobie ze smutkiem:

— Oh, czemuż to nie on będzie moim zięciem?

Antonina była roztargnioną, mimo że starała się okazać Kamilowi, całą przyjaźń jaką miała dla niego. Miłość która zawładnęła tą szlachetną istotą, znaglała ją niekiedy do kroków nieostrożnych, ale nie zdołała skłonić do popełnienia niesprawiedliwości.

O dziewiątej wieczorem pan Langis wsiadłszy na konia odjechał. W drodze zdawało mu się po kilka razy, że serce jego pęknie; wtedy spinał ostrogami konia, który pruł powietrze szybkością błyskawicy. Może chciał tym sposobem rozproszyć swój smutek, lub też miał nadzieję że wiatr porwie myśli jego i rozniesie je wśród nocnych cieni.

Tymczasem panna Moriaz wsparta na oknie, patrzyła na gwiaździste niebo, rozmyślając nad chwilowem nieukontentowaniem Abla. Ani jednej chmurki nie było na widnokręgu, jeden tylko czarny punkt rysował się słabym konturem na szczycie pagórka Mont-Valérien. Antonina była trochę smutną, choć ufała, że jutro wszystko się pomyślnie zakończy. Bo czemże jest jeden punkt czarny, w obec ogromu gwiaździstego nieba?

X.

Przed wieki żył w Atenach piękny młodzieniec imieniem Hippoklides; Arystofanes tworząc swą ptasią rzecz pospolitą, musiał chyba o nim myśléć. Hippoklides był ptakiem w postaci człowieka; wszystko w nim było lekkie i szczupłe, ręce, nogi, mózg nawet. Serce miał w piętach, nic go żywiej nie zajmowało, przetańcowywał życie swe całe. Nagle, pokochał on córkę Klistenesa, tyrana Sicyonii, człowieka bardzo poważnego z natury. Hippoklides stał się poważnym, oblokł swe czoło chmurą surowości, przez rok cały nie uśmiechnął się nawet, można było wziąć go za męża spartańskiego pochodzenia. Wysiłki te miały właśnie osięgnąć przynależną nagrodę, gdy na nieszczęście pewnego wieczoru dawaną była uczta, w czasie której Hippoklides, wypił za wiele wina. Nagle, wskoczył na stół i ku wielkiemu osłupieniu obecnych, zaczął tańczyć najprzód na nogach, potem na rękach, wreszcie na głowie. Wtedy rzekł mu Klistenes:

— Hippoklidesie, nie będziesz nigdy moim zięciem, taniec twój zniechęcił mnie zupełnie. Lecz Hippoklides nie zwrócił nawet uwagi na te słowa i tańczył dalej. Tak zwykle długo natężone sprężyny, wcześniej czy później zaczynają się poruszać, a prawdziwy grunt charakteru, choć starannie skrywany, musi wyjść zawsze na jaw.

W Cormeilles stało się jak w Sycyonii, lecz tu ojciec nie był tyranem, a księżniczka spełniała zawsze własną swą wolę. Nadto Samuel Brohl nie był wcale podobny do Hippoklidesa; tamten był zwykłym wróblem tylko, ten należał do rodziny drapieżnych ptaków, polujących na zdobycz i łupy. Nie lubił tańczyć, posiadał owszem wielki zasób powagi właściwej zwierzętom trudniącym się polowaniem. Jedna rzecz tylko zbliżała go poniekąd do Hippoklidesa: raz zapewniwszy się że był kochanym, puścił wodze wrodzonym swym wadom; cierpkość charakteru jego objawiła się nagle, i panna Moriaz mogła łatwo dostrzedz ostre szpony, ukrywane dotąd starannie.

Jednakże nawet zapomnienie się chwilowe, Samuel Brohl opierał na pewnem wyrachowaniu; prawda że spotkanie z Kamilem Langis w Cormeilles, podrażniło go do głębi, gdyż może w nieprzyjaźni jaką powziął do tego młodzieńca, był całkiem osobisty powód. Jednakże potrafił zapanować nad niezadowoleniem i gniewem, a jeśli się zapalał chwilowo, wchodziło to zwykle w poprzednio już usnute plany.

Z niecierpliwością oczekiwał chwili, w której miał wejść w posiadanie swych skarbów, wszelkie opóźnienia i ostrożności przeciwnej strony, niepokoiły go niezmiernie. Przeczuwał iż pan Moriaz czeka na powrót swego rejenta, by z jego pomocą przygotować plan do intercyzy, wiążącej ręce przyszłego zięcia. Czekał tylko sposobności by dowieść że i on także potrafił być nieufnym, w nadziei że wtedy panna Moriaz zaniepokojona, powie ojcu:

— Chcę by ślub nasz odbył się za trzy tygodnie, bez żadnych prawnych formalności. Sposobność taka trafiła się właśnie, Samuel zużytkował ją natychmiast.

Nazajutrz rano otrzymał list następujący.

„Sprawiłeś mi pan wielką przykrość. Już!... Przepędziłam wczoraj smutny wieczór, a tej nocy nie mogłam zmrużyć oka. Rozmyślałam nad naszą sprzeczką, starałam się wpoić w samą siebie przekonanie, że zawiniłam, ale napróżno; zarówno jak dotąd, nie zdołałam zrozumieć pana. Ach! jakże nieufność twoja mnie zadziwia! Przecież tak łatwo wierzyć, gdy się kocha. Napisz mi że się rozmyśliłeś, że uznałeś się winnym. Nie żądam abyś pan pokutował; ale skazuję cię byś dziś więcej mnie kochał jak wczoraj, jutro więcej jak dziś. Pod tym warunkiem puszczę wszystko w niepamięć i nigdy już o tem wspominać nie będę.

Twoja na zawsze.“

Samuel Brohl jednocześnie z wielkim zdziwieniem odebrał drugi bilecik, który brzmiał jak następuje:

„Kochany hrabio, nie mogąc pojąć pańskiego postępowania względem mnie, nie dajesz mi pan nawet znaku życia. Zdaje mi się, że mam pewne prawa do względów twoich i dlatego spodziewałam się że przybędziesz sam oznajmić mi wielką wiadomość i odebrać moje powinszowanie. Przybądź pan proszę dziś do mnie na obiad, będzie też i ksiądz Miollens, który drży z niecierpliwości ujrze-

nia cię. Wiesz że on ludzi studyuje podług Horacyusza, i że pan jesteś jedynym z ulubionych jego typów.

„Nie odpisuj mi nawet mój hrabio, ale przybądź koniecznie, w przeciwnym bowiem razie, pokłócę się z panem na wieki.“

Samuel odpowiedział najpierw na list panny Moriaz:

„Bądź pani pewną, że cierpiałem więcej od ciebie. Przebacz mi; trzeba wiele przebaczyć tym, którzy wiele w życiu przenieśli, Wyobraźnia moja podlega niekiedy dziwnym niepokojom. Mówisz pani że się wierzy kochając, wielka radość wzbudza niekiedy niepokój, od pewnego czasu zwłaszcza lękam się sam nie wiem czego. Usiłowałem uciec przed szczęściem własem, a teraz drżę, aby ono mnie nie odbiegło; wydaje mi się bowiem za wielkiem, by mogło być trwałem. Być kochanym przez ciebie!... Lękam się; co wieczór zadaję sobie pytanie: Czy jutro będzie mnie jeszcze kochać? Może do tego niepokoju przyczynia się wyrzut sumienia. Duma moja zadawała mi nieraz tortury: powiedziałaś pani że jest ona grzechem, staram się poprawić, lecz na-to jeden dzień nie wystarcza. Podczas tych długich miesięcy oczekiwania, nieraz jeszcze dręczyć mnie będzie zwątpienie i niewiara. Przyrzekam jednak iż będę milczał i ukrywał walkę toczącą się w mem sercu.

„Skazujesz mnie za karę na kochanie cię dziś więcej niż wczoraj; wiesz że jest to rzeczą nie możliwą, to też zadaję sobie inną pokutę. Pani de Lorcy zaprosiła mnie na obiad. Wiem że nie jest mi życzliwą, lecz udam się do niej zamiast do Cormeilles i przepędzę tam dzisiejszy wieczór. Czy cię zadowolniłem? Czy potrafię zadawać sobie pokuty?

„Ale jutro... Oh! jutro będę już o drugiej godzinie przy ogrodowej furtce. Chcesz coś dla mnie uczynić? Przechadzaj się pani o drugiej godzinie w moim ulubionym szpalerze. Zbliżając się będę mógł dostrzedz twój biały parasolik; spodziewam się że słońce świecić będzie. Może uznasz że jestem dziecinny? Niech cię to nie dziwi, wszak odrodziłem się przed trzema miesiącami; zacząłem żyć dnia 5-go lipca, w tym roku, o czwartej po południu, wszedłszy do pewnej katedry, gdzie cię po raz pierwszy ujrzałem. Przebacz mi wszystkie przewinienia moje.

Do jutra moja ukochana“.

Służący przez którego panna Moriaz posłała swój list na ulice Mont-Tabor, odniósł jej zaraz odpowiedź rozpraszającą niepokój, ale zarazem dającą wiele do myślenia. Niektóre ustępy zwróciły wyłączną jej uwagę. Choć Samuel Brohl nie podkreślił ich, nie chybiły jednak przeznaczenia. Panna Moriaz postanowiła przyśpieszyć okoliczności, a nawet za pierwszem widzeniem, prosić hr. Abla, by sam oznaczył dzień ślubu. Co do intercyzy, mogła natychmiast rozmówić się z ojcem, który właśnie przyszedł jej oznajmić że pan Noirot, niecierpliwie oczekiwany rejent, powrócił z podróży i miał przybyć jutro na obiad, dla porozumienia się z nim w tym interesie.

Pomyślawszy chwilę Antonina, zapytała:

— Czy mógłbyś mi ojcze powiedzieć, na co właściwie przydać się nam może rejent?

Odpowiedź była dość filozoficzną:

— My, widzimy tylko teraźniejszość, rejenci zaś patrzą w przyszłość i zabezpieczają od wszelkich możliwych i niemożliwych wypadków.

Antonina oznajmiła ojcu, że nie wierzy w żadne możliwe i niemożliwe wypadki i nie lubi wszelkich ostrożności, bo one przypuszczają niewiarę, a ta jest nader przykrą i ubliżającą dla drugich

— Dziś jest bardzo piękna pogoda, rzekł pan Moriaz, ale być może że jutro deszcz zacznie padać. Gdybym dziś udawał się w daleką podróż, zabrałbym z sobą parasol, nie ubliżając tem Opatrzności. Któż mówi o uchybieniu panu Laryńskiemu? Nie dość że pochwali on moje zamiary, ale podziękuje mi jeszcze. Czemuż tak długo nie chciał starać się o twoją rękę? Bo tyś bogata, a on ubogi. Intercyza jaką chce właśnie spisać, ułatwi mu wiele rzeczy w przyszłości.

— Dla niego kwestya pieniężna nie istnieje nawet, zawołała z żywością Antonina, ja także pragnę aby nie była wcale podnoszoną.

Pan Moriaz bronił jeszcze swoich przekonań gdy panna Moiseney wmieszała się do rozmowy, popierając gorąco Antoninę, oświadczyła że nie rozsądkiem byłoby wystrzegać się takiego człowieka jak hr. Laryński i że ludzie uczeni, nie potrafią nigdy zrozumieć, czem jest wrodzona delikatność szlachetnych serc; ale pan Moriaz przerwał jej mowę, prosząc, aby się nie mieszała do rzeczy, które do niej nie należą. Po raz pierwszy w życiu, profesor uniósł się gniewem. Antonina chcąc ojca uspokoić obsypała go pieszczotami i obiecała być uprzedzająco grzeczną, dla pana Noirot, słuchać nawet jego rad, a potem z nich korzystać; w głębi duszy jednak myślała, że wszyscy na świecie rejenci, nie mają żadnego sensu i żadnej logiki.

W czasie tej burzliwej rozmowy pana Moriaz z córką, Samuel Brohl udawał się do pani de Lorcy. Po zadziwieniu jakie spowodował list zapraszający go do Maisons-Laffitte, owładnęło nim inne uczucie; mniemał że tym dowodem grzeczności, chrzestna matka Antoniny chciała mu pokazać, iż poddaje się losowi. Myślał nadtem jak będzie dokładał wszelkich starań, by ją pocieszyć i tem samem pozyskać jej względy. Zwyciężyłem ją, myślał uśmiechając się, ale doprawdy nie mam jej za złe, że chciała walczyć.

Samuel Brohl był szczęśliwy i swobodny. Spodziewał się że za dwa tygodnie najdalej, głoszone będą jego zapowiedzi z panną Antoniną Moriaz. Uśmiechał się, rozmawiał z ukochanym jej obrazem, który towarzyszył mu teraz wszędzie. Do zwykłej oziębłości charakteru, Samuel łączył bujną imaginacyą, która się łatwo zapalała. Wtedy czuł w sobie niejakie ciepło, zdawało mu się że miał choć odrobinę serca. W tej chwili widział Antoninę taką, jaką ją po raz ostatni opuścił, z oczyma pełnemi łez, z wyrazem smutku i wyrzutu na twarzy. Nigdy nie widział jej równie piękną. Zdawało mu się że był do szaleństwa zakochanym i miał wielką ochotę, wyśmiać samego siebie. Rozmyślał najpierw o rozkoszy jakiej dozna, gdy ta wiotka postać stanie się jego wyłączną własnością, gdy będzie mógł pochłaniać kartę po karcie, rozdział po rozdziale, z tej bogato oprawnej księgi.

Jednak nie zastanawiał się nad tem zbyt długo, myśl jego przeszła do dalszej przyszłości, którą urządzał jak najwygodniej. Żegnał smutną przeszłość, jak niewidomy, który przejrzawszy jakimś cudem, rozdziela się ze swym psem i laską, smutnemi świadkami minionej niedoli. Kończyło się dla niego trudne życie i nieustanna walka z losem i lichwiarzami, z potrzebą i brakiem; to też żegnał to wszystko z radością. Odtąd kieszenie jego napełnić się mają złotem, obfitość otoczy go zewsząd, uśmiechała mu się rozkosz jaką znajdzie w bezczynności, przyjemność rozkazywania, wszystkie słodycze życia pełnego egoizmu, spędzanego po większej części w miękkiem i wygodnem krześle. Odtąd pożywieniem jego, miały stać się najwykwintniejsze potrawy, a powozy, konie, loża w teatrze, wykończały całość tych barwnych marzeń. Co za przyszłość! Myśląc o niej Samuel Brohl przesuwał niekiedy spragniony język po spieczonych wargach.

Alnaschar, ów sławny próżniak, miał jak wiadomo całego majątku 800 drachm srebra i zamierzał pojąć za żonę, córkę wielkiego wezyra. Pilno mu było ożenić się by jeździć na siodle szczerozłotem i nosić pańskie suknie. Zamierzał też przyzwyczaić żonę do uległości, nauczyć ją stać przed sobą zawsze w gotowości do usług, obiecywał sobie uleczyć ją z wszelkich wymagań i kaprysów, spojrzeniem, słowem a nawet i pięścią. Jeśli Samuel Brohl był poważniejszy jak Ateńczyk Hippoklides, był też i mniej srogi niż Alnaschar z Bagdadu; ale czy był o wiele mniej chciwym? On także obiecywał sobie nauczyć żonę wielu rzeczy, chciał by córka wielkiego wezyra poświęciła się całkiem dla jego szczęścia i wygody. Posiadać piękną niewolnicę o ciemnych oczach i złotawych kędziorach, która ubóstwiała Samuela, oddając mu życie, spełniając jego wolę, która czytała w oczach jego, każde pragnienie, każdą fantazyą, która oddawszy mu się bez podziału, zaledwie śmiała podnieść nań swe przestraszone oczy; takie były jego pojęcia o szczęściu małżeńskiem.

Czyż potrzebował naginać do niej Antoninę? Miłość sama dokonała tego. Uwielbiała ona Samuela, on miał ją w swojej mocy, pod swoją władzą, niepodobna aby mu kiedykolwiek stawiła najlżejszy nawet opór! Najprzód musiała się przygotować, do wszelkich ofiar, do pełnego posłuszeństwa, miała stać się jego służebnicą, przedmiotem należącym do niego. Oszusty szczycą się często, że łatwo odgadują charaktery zacnych i poczciwych ludzi, a jednak rozumieją ich tylko do połowy.

Uczucia ludzi prawych, są jak niektóre języki, łatwe na pozór, lecz w gruncie przepełnione tajemnicami i odcieniami, których pospolite umysły nie są zdolne pojąć. Nie jeden handlarz nauczy się języka włoskiego w przeciągu trzech tygodni, ale nie umie go nigdy dokładnie; Samuel Brohl znał pannę Moriaz, ale jej nie rozumiał.

Przybywszy do Maisons, był w jak najweselszem usposobieniu. Mijając park pani de Lorcy, rozważał że była ona wdową, bezdzietną, nie mającą żadnych spadkobierców: uważał iż była krwistą i skłonną do appopleksyi; wiedział że Antonina jest jej chrzestną córką, a choć pani de Lorcy nie bardzo lubiła pana Laryńskiego, to jednak tenże był dość zręcznym, aby pozyskać jej przyjaźń. Park wydał mu się wspaniałym, mijając cieniste szpalery z niebotycznych drzew, patrzył okiem właściciela na wspaniałą terassę otoczoną dokoła olbrzymiemi topolami i osądził, że najwygodniej będzie osiąść stale w swym pałacu w Maisons, a niekiedy tylko nawiedzać swą willę w Cormeilles. Wyobraźnia jego nic sobie nie odmawiała.

Czy pani de Lorcy była skłonną do apopleksyi, tego nie wiemy; co jednak jest rzeczą dowiedzioną, to że dotąd jeszcze nie umarła. Samuel Brohl spostrzegł ją siedzącą na werendzie i oczekującą jego przybycia. Zatrzymał się dość długo w parku, który kiedyś miał do niego należeć, a opóźnienie to, zaniepokoiło panią domu.

Ujrzawszy go z daleka, zawołała:

— Nareszcie... Zawsze każesz pan na siebie czekać. I dodała z uprzejmym uśmiechem:

— Spotykamy się dziś w mniej tragicznych okolicznościach i mam nadzieję, że tym razem Maisons zostawi panu nieco lepsze wspomnienie.

— Każde szczęście musi być okupione cierpie-

niem, rzekł całując jej rękę, ja też nie mogłem dość drogo opłacić swoje.

Wprowadziła go do salonu, gdzie wszedłszy, ujrzał siedzącą na kanapie kobietę, z wachlarzem w ręku, rozprawiającą głośno z księdzem Miollens. Na ten widok Samuel stanął jak wryty, bez tchu, bez życia, jak bryła zimnego marmuru; zdawało mu się że ściany salonu zadrżały gwałtownie i że posadzka ustępowała z pod nóg jego, jak pomost miotanego burzą okrętu.

W wilją dnia tego, po wyjściu Antoniny, pani de Lorcy zaczęła znów nalegać, aby księżna pozwoliła przedstawić sobie awanturnika o zielonych oczach, na co ta w końcu przystała. Pierwsza myśl jaka przesunęła się przez jego głowę, była gwałtowna chęć ucieczki, lecz pozostał na miejscu. Spojrzał na panią de Lorcy, która patrzała na niego ze zdziwieniem, nie zdając sobie sprawy z pomieszania jakie odmalowało się na jego obliczu. To tylko traf, pomyślał, nie stałem się ofiarą spisku. Myśl ta uspokoiła go nieco.

— Cóż to znaczy? rzekła pani de Lorcy, czy znów mój biedny salon tak nieszczęśliwie wpłynął na organizm pana.

Wskazał na ustawiony nieopodal klomb egzotycznych roślin.

— Zapach tych kwiatów jest tak silny, że dostałem lekkiego zawrotu głowy, rzekł.—Będziesz mnie pani uważała za bardzo zniewieściałego.

— Uważam pana za wielkiego człowieka o bardzo słabych nerwach, odpowiedziała z uśmiechem, ale wiesz pan z doświadczenia, że jeśli łatwo podlegasz omdleniu, ja z mej strony posiadam trzeźwiące sole, dodała podając mu flakonik

— Jesteś pani za zbyt łaskawą, odrzekł.—Odważnie już szedł naprzód, stawiając czoło niebezpieczeństwu. A jednak niebezpieczeństwa w jedwabnych sukniach, są jedne z najgorszych.

Pani de Lorcy przedstawiła nowo przybyłego księżnej, która podniósłszy głowę utkwiła w jego twarzy swe błyszczące zrenice. Samuelowi zdawało się że ta para siwych oczów ugodziła w niego jak dwie ołowiane kule; dreszcz przebiegł go od stóp do mózgu i zapytał sam siebie, czyli już umarł, czy też jeszcze żyje na tym świecie. Ale w krótce przekonał się, że życie jeszcze nie uleciało. Księżna nie zadrżała nawet, żaden muskuł nie poruszył jej twarzy. W końcu nawet uśmiechnęła się uprzejmie i wyrzekła kilka słów, których Samuel nie dosłyszał. Zdawało mu się że brzmiały jak następuje:

— Masz szczęście, w czepkuś się rodził; od kilku lat wzrok mój znacznie osłabł i nie poznałam cię; błogosław twoją szczęśliwą gwiazdę, jesteś uratowany.

Księżna mówić przestała, lecz jemu słowa te ciągle jeszcze brzmiały w uszach. Szalona radość zawładnęła nim, w uniesieniu chciał rzucić się na szyję księdza Miollens, który zbliżywszy się ujął go za rękę wołając:

— Ileż to rzeczy zmieniło się od naszego ostatniego spotkania. Jak się kobieta uprze, to musi dokonać swego, ale i ja w tej sprawie nie byłem widzem tylko, i ja także działałem i szczycę się tem.

Pani de Lorcy prosiła hrabiego aby przechodząc do jadalni, podał rękę księżnej Gulof. Prowadził ją nie mówiąc słowa, był jeszcze nadto wzruszony. Ona też milczała układając prawą ręką pukiel siwych włosów nad czołem. Patrzył na te pulchną rękę, która kiedyś, wśród napadu srogiego gniewu i zazdrości, wymierzyła mu dwa ogniste policzki.

W czasie obiadu księżna była bardzo ożywioną, mówiła więcej do księdza Miollens jak do pana Laryńskiego. Prześladowała staruszka i gorszyła go, wygłaszając swoje przekonania. Korzystając z tak dobrej sposobności, księżna zaczęła rozwodzić się nad teoryą Darwina. Ksiądz Miollens podjął wesoło rzuconą mu rękawicę, mówił że woli być upadłym aniołem, jak udoskonaloną małpą, dodał też w końcu, że dorobkiewicz, choćby najbogatszy, nigdy nie dorówna zrujnowanemu nawet szlachcicowi z pięknego rodu. Księżna zaręczyła że jej arystokratyczne pojęcia nie sięgały tak daleko i na zakończenie dodała:

— Lubię myśléć że należę do rzędu istot postępujących ciągle naprzód, zdobywających pracą coraz większą doskonałość.

Podczas tej rozmowy Samuel Brohl starał się uspokoić po doznanem wrażeniu. Spostrzegł z radością że wzrok księżnej znacznie osłabł, że mikroskopiczne studya, do jakich miała zawsze wielki pociąg, zepsuły w końcu jej oczy. Od sześciu lat nie widziała mnie, myślał, przez ten czas stałem się innym człowiekiem, przeistoczyłem się, niekiedy sam siebie poznać nie mogę. Dawniej nie miałem zarostu; głos mój, akcent, ruchy, spojrzenie, wszystko się zmieniły, Polska zaszczepiła się w krew moją, nie jestem już owym Samuelem, jestem Ablem Laryńskim. Błogosławił mikroskopy, które osłabiają wzrok starych kobiet, błogosławił nadewszystko hr. Abla Laryńskiego. Przed końcem obiadu, odzyskawszy całą pewność siebie, wziął udział w rozmowie; opowiadał z uczuciem smutną historyą, wtrącił kilka słów dowcipnych z werwą i wesołością pełną wdzięku, objawił własne przekonania i uczucia napiętnowane niepospolitą szlachetnością, mówił ze wzruszeniem o świętej wierze i w głosie jego drżała niekiedy łza rozrzewnienia. Nie można było być więcej Laryńskim.

Księżna słuchając go, jawnie objawiała swe zadziwienie i ciekawość, wreszcie rzekła:

— Zachwycasz mnie hrabio, ale ponieważ ja w nic nie wierzę, prócz w jedną fizyologią, znajduję że jak dla mnie, jesteś za nadto Polakiem.

Po skończonym obiedzie nowi goście zwiększyli towarzystwo. Dla Samuela była to chwila nader pożądanego odpoczynku. Choć był pewny że księżna go nie poznała, uczuwał w jej obecności dziwny niepokój. Oblicze to przypominało mu minioną nędzę i ciężką niewolę młodzieńczego wieku, na widok tej kobiety, czoło jego pokrył palący rumieniec wstydu.

Rozpoczął rozmowę z nowo przybyłym radzcą który długie swe monologi, ozdabiał najnudniejszemi uwagami. Ten niezmordowany mówca, wydał się Samuelowi dowcipnym i przyjemnym; widział w nim jedną główną zaletę, to jest że nie znał Samuela Brohl. W obecnej chwili Samuel, dzielił ludzkość na dwie kategorye. Pierwsza składała się z ludzi wysokiej zasługi, którzy nie słyszeli nawet o pewnym Brohlu, do drugiej należały stare kobiety, znające go dobrze. Zarzucał radzce pytaniami: słuchał odpowiedzi z nadzwyczajną uwagą, uśmiechał się potakując za każdą nowa niedorzecznością, pragnął aby rozmowa ta, potrwała jeszcze przez trzy długie godziny. Gdyby ów wygodny nudziarz chciał się oddalić, przytrzymałby go chyba za guzik od surduta.

Nagle usłyszał przenikliwy głos wymawiający te słowa:

— Gdzież jest hr. Laryński? Przyprowadź mi go, chcę się z nim wykłucić.

Z żalem opuścił swego radzcę, aby usiąść w fotelu, który mu uprzejmie podała pani de Lorcy, a który wydał mu się być torturowem narzędziem. Gospodyni domu oddaliła się, został więc sam na sam z księżną Gulof.

— Powiedziano mi, rzekła, że powinnam panu złożyć powinszowanie i życzenia swoje, pragnę to uczynić, chociaż jesteśmy nieprzyjaciołmi.

— Dlaczego mamy być nieprzyjaciołmi księżno, zapytał zagadnięty z odcieniem niepokoju, który się szybko rozproszył.

— Mamy całkiem różne pojęcia i przekonania; walczymy pod sztandarem przeciwnych sobie idei; szczęściem nie będzie czasu na staczanie utarczek, gdyż jutro rano o siódmej wyjeżdżam do Londynu.

Samuel byłby chętnie upadł przed nią na kolana, aby tem wyrazić jej swą wdzięczność:

— Jutro o siódmej rano! zawołał w głębi ducha. Oczerniałem ją, nie jest ona złą i do gruntu zepsutą.

— Jednakże, ciągnęła dalej księżna, pojęcia moje pod pewnym względem są dość elastyczne, jestem bardzo pobłażliwą. Odrzuciłam daleko od siebie wszelkie zastarzałe przesądy, jako to przywiązanie do kraju, które było na swojem miejscu, za czasów Epaminondasa i Tezeusza, ale które się już przeżyło. My żyjemy w wieku telegrafów i pary i nie znam nic równie niemądrego, jak granice państwa. Mówiono mi że ty hrabio do przesady cenisz tradycyą, powiedz mi pan, co ci ona kiedy za korzyść przyniosła.

— Nie wiem księżno czy mi ona kiedy przyniosła jaką bądź korzyść, odparł chłodno, ale to wiem, że są rzeczy z których nie lubię się tłomaczyć.

— Masz pan słuszność, nie pojęłabym cię. Don Guichotte nie tłomaczył się ze swych czynności Sanchowi.

— Proszę cię księżno pomówmy trochę o człowieku-małpie, rzekł tonem zupełnie swobodnym. Jestto kwestya mająca ten wielki przymiot, że nie dotyczy niczyjej osobistości.

— Nie uda się panu zprowadzić mnie z raz wytkniętej drogi. Pragnę wypowiedziéć panu wszystko złe, jakie o tobie myślę, choćbyś się pan za to na mnie pogniewał. Przy obiedzie wypowiedziałeś pan zdania, które mnie do rozpaczy doprowadziły. Jesteś idealistą, prawdziwym uczniem Platona, a nie uwierzyłbyś nigdy, jak ja tego człowieka nienawidzę. Żyję 65 lat na tym świecie a nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać nic więcej, jak tylko interes i chciwość. Dwa razy w czasie obiadu mówiłeś pan o ideale. Cóż to jest ideał? Gdzie się gnieździ? Mówisz o nim jak o domu dobrze ci znanym, od którego klucz masz w swej kieszeni... Czy możesz mi go pokazać hrabio? Przysięgam że ci go nie naruszę... o poeto, poeto!

— Po tem wszystkiem nie pozostaje jak tylko zgładzić mnie z tego świata.

— Nie, nie zgładzę pana. Każdemu wolno miéć swoje zdanie i trzeba pozwolić żyć wszystkim, nawet idealistom. Zresztą gdyby pana zgładzono ze świata, śliczne dziewczę, które cię uwielbia byłoby w rozpaczy, a jest ono jakby umyślnie dla ciebie stworzone. Kiedyż ma się odbyć wesele?

— Gdybym mógł się spodziewać, że zaszczycisz nas swą obecnością księżno, wstrzymałbym dzień ślubu, aż do twego powrotu z Anglii.

— Jesteś pan zbytnio uprzejmym. Nie chciałabym opóźnić ani o jedną godzinę szczęścia mającego stać się udziałem panny Moriaz. Winszuję ci z całego serca kochany hrabio; spotkałam tu przyszłą hrabinę Laryńską i zachwyciła mnie ona prawdziwie, stworzona na żonę poety. Musi miéć wiele rozumu, czego najlepszym dowodem jest: że pana wybrała. Co do kwestyi materyalnych, nie śmiem pytać, czy jest majętną, oburzyłbyś się pan z pewnością. Idealiści nie myślą o tak poziomych kwestyach.

Przysunąwszy się do niego, poruszyła gwałtownie wachlarzem i rzekła:

— Ci biedni idealiści, są bardzo nieszczęśliwi.

— Dlaczego księżno?

— Śnią niekiedy na jawie, a przebudzenie bywa zwykle nader przykre. Ah! kochany hrabio, i to, i tak, *et coetera*... Tak się kończy historya.

Potem nachylając głowę ku Samuelowi i wlepiając jadowite spojrzenie w jego twarzy, szepnęła cichym głosem, który rozległ się w uszach jego jak zgrzyt przeraźliwy:

— Samuelu Brohl, człowieku o zielonych oczach, wcześniej czy później, ludzie spotkać się muszą.

Na przeciwnej ścianie zawieszony był wielki portret nieboszczyka pana de Lorcy, w paradnem ubiorze *in fiocchi*. Samuelowi zdawało się, że ta poważna postać zadrżała gwałtownie w ramach, zdawało mu się także, że świeczniki nad kominkiem stojące, wyrzucały długie świetlane języki, aż pod sufit. Uczuł gwałtowne i głośne bicia serca, lękał się by uderzenia te nie zwróciły uwagi obecnych. Lecz wszyscy zajęci byli rozmową, nikt nie obejrzał się w tę stronę, nikt nie domyślił się nawet, że nieopodal był człowiek, na którego w tejże chwili, padł piorun.

Człowiek ten, przesunął rękę po zwilżonem czole; potem wysiłkiem woli rozproszywszy chmurę przysłaniającą mu oczy, pochylił się z kolei po nad siedzącą przy nim kobietę i patrząc na nią oczyma rzucającemi iskry, rzekł z pogardliwym uśmiechem:

— Księżno, znam trochę tego Samuela Brohl; o którym mówisz, nie jest to człowiek ktoregoby można bezkarnie zadrasnąć. Nie masz pani zwyczaju wyrażać swej myśli na papierze, a jednak, odebrał on w swoim czasie dwa listy od ciebie, które dotąd są w jego posiadaniu. Jeśli kiedy zmuszony będzie stanąć przed sądem, listy te przyjdą mu w pomoc, a następnie cieszyć się niemi będą wszystkie pisemka paryzkie.

Po tych słowach powstał, kłaniając się głęboko księżnej, a pożegnawszy panią de Lorcy, wyszedł w towarzystwie księdza Miollens, który zadał mu prawdziwe turtury, uparłszy się odprowadzić go, aż do stacyi kolei. Nie będąc już skrępowanym obecnością pani de Lorcy, ksiądz mówił wiele o szczęśliwej okoliczności, do której jak zaręczał, przyłożył się także. Samuel byłby chciał widzieć go w tej chwili o sto mil od siebie, odetchnął dopiero wtedy, gdy ksiądz uwolnił go od swej natrętnej obecności.

Burza szumiała na niebie bez chmur, były to grzmoty suche, bez deszczu. Błyskawice rozdzierały obłoki z różnych stron nieba, niekiedy szczyty pagórków zdawały się płonąć. Po kilkakroć zdało się Samuelowi, że ze strony Cormeilles, widział łunę pożaru który pochłaniał jego marzenia o dwóch milionach łatwo nabytych.

Wyrzucał sobie swą porywczość.

— Gdybym był wczorajszy wieczór przepędził z Antoniną, rzekł sam do siebie, byłaby mi wspomniała o księżnej Gulof, wtedy mógłbym się zabezpieczyć od nieprzyjemnego spotkania.

Przypisywał całą winę Kamilowi Langis i tem więcej go nienawidził.

Jednakże w miarę jak zbliżał się do stolicy, czuł w sobie wzrastającą odwagę.

— Wspomniane przeze mnie listy, przestraszyły ją myślał, nie będzie śmiała wypowiedzieć mi otwartej wojny. Nie, nie zrobi tego. Po chwili dodał:—A gdyby nawet odważyła się na to, Antonina kocha mnie tak bardzo, że zawsze uwierzy w to, co jej powiem. W myśli przygotowywał plan postępowania, w razie niebezpieczeństwa.

W tejże chwili pani de Lorcy zostawszy sama z księżną Gulof zapytała:

— A więc moja droga, rozmawiałaś dość długo z panem Laryńskim, cóż o nim myślisz?

Odpowiedź księżnej nie była zadawalniającą:

— Myślę, rzekła, że hr. Laryński jest ostatnim na świecie romantykiem, jeśli wolisz ostatnim trubadurem; ale nie mam powodu mniemać by był awanturnikiem.

Pani de Lorcy nie mogła się nic więcej dowiedzieć; zatrzymała gościa na noc. Księżna przez większą część nocy, rozmyślała nad tem co jej wypadało czynić. Groźba Samuela wywarła wpływ pożądany. Przywodziła sobie na pamięć wyrazy zamieszczone w owych listach, które pisała z Londynu do Paryża gdzie Samuel załatwiał dla niej nader ważne interesa. Pierwszy był pisany pod wpływem szalonej namiętności, drugi wśród napadu miłośnego gniewu. W jednym mieściło się pełno tajemnic dotyczących osób, zajmujących wysokie stanowisko w hierarchii społecznej. Po powrocie Samuela, żądała aby te kompromitujące ją dowody zostały spalone w jej obecności, lecz Brohl potrafił ją w błąd wprowadzić, paląc same tylko koperty napełnione papierem. Na myśl że listy te mogłyby kiedyś być czytane przed sądem, lub drukowane w jednem z podrzędnych paryzkich pisemek, księżna zadrżała, krew jej zakipiała w żyłach, nie życzyła sobie wtajemniczać Paryż i Petersburg w wspomnienia minionej namiętności, na którą teraz sama się oburzała, nie chciała aby wiedziano że żona gubernatora, kochała niegdyś pospolitego oszusta... ale jakże znów opuścić tak dobrą sposobność zemsty! wyrzec się tej przyjemności bogów i księżnych! znieść aby człowiek który ją porzucił, doprowadził teraz do skutku tak śmiałe zamiary!... Na to żadną miarą pozwolić nie mogła. Z tych rozmyślań wynikło, że noc spędzona w Maisons, nie była dla księżnej Gulof bardzo spokojną.

(d. n.)

Korespondencya z Schlangenbadu.

(Dokończenie).

Patrząc na te rozrosłe klony i jawory, na te piramidalne tuje sadzone staranną ręką, odgadujemy łatwo, że osada Schlangenbadzka liczy już parę wieków istnienia. W ciągu tych długich lat dziwneż ona przebywała koleje: miała chwile najświetniejszej sławy, i chwile zupełnego upadku. Dwieście czterdzieści lat temu, tu gdzie wznosi czoło okazały gmach kąpielowy, w głuchym wtedy parowie pośród lasów szumiały trzy młyny, poruszane prądem owego strumienia, gwarzącego dziś wśród kwiatów i drzew exotycznych. W pobliżu wytryskały ciepłe źródła, stąd owe młyny, należące do niedalekiej wioski Boerstadt, przezwano *Warme mühlen*.

Szczególnym wypadkiem, w miejscu gdzie wytryskały źródła, zbiegała się granica dwóch Elektoratów: Heskiego i Moguneckiego, i dwóch hrabstw nassauskich. Feudalni władzcy czterech dzielnic, nie spierali się przecież o posiadanie owych źródeł, nie znając ukrytego w nich skarbu. Odkryła go chora jałowica. Wiedziona zwierzęcym instynktem pławiła się rada w jednem z nich, i wkrótce odzyskała tuszę i krzepkie siły. Właściciel jej młynarz dopatrzył ją raz w tej dobroczynnej kąpieli. Dalejże czynić nowe próby z chorym dobytkiem. Próby udawały się najpomyślniej; wieść o uzdrawiającej wodzie powtarzana z ust do ust, doszła do ucha dwóch Elektorów i obu hrabiów nassauskich. Wszyscy czterej przybyli na miejsce, każdy przyprowadził liczny orszak. Słudzy zastawili im stół do uczty, w taki sposób, że każdy z magnatów siedząc w innym końcu, trzymał stopy na własnem terytorium.

Dobroczynna krynica, nie stała się bynajmniej jabłkiem niezgody między możnowładzcami. Wszyscy czterej za wspólnem porozumieniem, sprowadzili słynnych medyków, zalecili im dokonać najściślejszy rozbiór wody, i określić uzdrawiające jej własności. Wskutek uznania specyalistów, zajęli się zbudowaniem pierwszych łaźni i urządzeniem leczniczego zakładu. Każdy z Elektorów i hrabiów ją budować na własnym gruncie; tym sposobem powstał pierwszy zawiązek istniejącej dotąd osady. Z powodu nieprzeliczonych węźów, pełzających w parowie, nazwano to miejsce Schlangenbadem.

Te węże znikły dziś na dolinie, wytępiono je z wielkim trudem, pełno ich przecież zostało po okolicznych lasach. Mają one własną historyą, opartą na badaniach naturalisty Haydena, który daleki od realizmu dzisiejszych przyrodników, nie gardził wiekową tradycyą, i na niej budował naukowe swoje wywody. Zobaczmy zkąd Hayden wyprowadzał rodowód tych węźów, lęgnących się w wąwozach Taunusu. Odmienne one całkiem od tych, jakie spotykamy w krajach północnej Europy; długie od trzech do pięciu niekiedy stóp, z wierzchu szaro żółtawe, od spodu białe, mają na głowie żółtą plamę. Kolebką ich była Grecya. Taki to wąż służył niegdyś za godło Eskulapowi, taki odbierał hołdy i ofiary, naprzód Greków, następnie spadkobierców ich Rzymian. Podczas konsulatu Fabiana i Brutusa, mówi Hayden, morowa zaraza dziesiątkowała rzymską ludność. Przerażeni Rzym anie sprowadzili wówczas mnóstwo węźów świętych z Epidauru; przeznaczyli im jedną z wysp na Tybrze, gdzie lud karmił ich z religijnem poszanowaniem. Z czasem węże te rozrodziły się w okolicach Rzymu, gdzie dotychczas widzieć je można; z Rzymianami przeszły do Germanii.

Nazwa Schlangenbadu łączy się zatem z tradycyą Eskulapa, dzięki wywodom niemieckiego naturalisty, który jak wielu późniejszych jego ziomków, umiał nakręcać naukę do czasowych i miejscowych potrzeb.

W końcu siedemnastego wieku — Schlangenbad zaledwie zrodzony niesłychanym zajaśniał blaskiem. Moda upodobała sobie tę poetyczną ustroń. Za przykładem Heskiego i Moguneckiego Elektora, okoliczni książęta i grafowie, zjeżdżali tu co lato z licznym dworem. Nowe domy jakby wyrastały z pod ziemi. Elektor Moguncki sprowadził tu całą swoją milicyę, złożoną z pięćdziesięciu grenadjerów. Ilekroć nowa kareta wjeżdżała do parowu, inwalida stojący na straży z zapalonym lontem, przykładał go do działa; huk rozlegał się po górach, w takt grzmiącej tryumfalnie kapeli.

Świetne grono piło porankiem wodę. Po kąpieli wszyscy ucztowali razem przy stołach zastawianych kolejno w domach Książąt i Elektorów. Wieczorem ściany kursalu jarząco oświetlone, trzęsły się od pląsów i gędźby. Książęta i Falsgrawy, w osobnej sali, przy zielonym stole, rzucali na kartę garściami złoto; piękne pary tymczasem w jasną noc księżycową, błądziły po gajach i szpalerach. Biada tym które odbiegły zbyt daleko! W górach czyhały zgraje bandytów, groźniejsze stokroć od tych, o których nadmienia dziś gazeta wiesbadeńska. Nie jedna księżna wracała z przechadzki bez pierścieni i dyademu, nie jeden panicz bez zegarka i spinki brylantowej. Milicya Elektora nie była w stanie poskr

mić tych nadużyć. Nie zrażało to jednak biesiadników; co rok z początkiem czerwca rozpoczynał się karnawał w roskosznej dolinie Schlangenbadu.

W r. 1700, dwory elektorskie zjechały jak zazwyczaj w danej porze; huk moździeży oznajmiał co chwila nowych przybyszów, głowy dziwnym płonęły szałem. Nagle przypada goniec, daje znać o zbrojnem pochodzie wojsk francuzkich. Cesarskie siły gromadzą się nad Renem. W Schlangenbadzie popłoch i wrzawa; kto żyw zabiera się do odwrotu. Zabrakło czasu na to. W ślad za wieścią, partyzant francuzki Lacroix, wpada na czele pięć dziesięciu ochotników, chwyta Elektora Moguncкiego, wraz z księciem Phulz-Neuburg wielkim mistrzem kawalerów Teutońskich, obu związanych w troki, wlecze do francuzkiego obozu. Daremny opór dworzan, kilku z nich padło trupem w obronie panów swoich.

Włościanie z Boerstadt odbili książąt na dolinie Bingan, ale Schlangenbad, zbroczony krwią opustoszał w jednem oka mgnieniu. Nieprędko miał do dawnej powrócić świetności. W ciągu następnych lat, mimo straży heskich i moguncкich, rozstawionych w dolinie dla bezpieczeństwa, goście nie przybywali. Ścieżki i kwiatniki pozarastały trawą, ale tradycya o pięknych księżniczkach i landgrafinach, które błyszczały tu niegdyś urodą, przebiegała po miastach nadreńskich. Tę czarodziejską ich urodę, *vox populi* przypisywał użyciu Schlangenbadzkich kąpieli. Elektorowie i hrabiowie Nossauscy, aby przywrócić wziętość zaniedbanym krynicom, usiłowali rozpowszechnić tę bajkę, przez poplecznikow swoich. W myśl książąt D-ór Pasquay z Frankfurtu, napisał obszerną naukową rozprawę o wodach schlangenbadzkich, wykazał odmładzające ich skutki, nazwał je krynicą młodości (fontaine de jouvenu). Bajka rosła, przebiegając z ust do ust—wkrótce tak olbrzymie przybrała rozmiary, że owe cudotworne kąpiele, stanęły na równi z owym bajecznym młynem, do którego dyabeł według podania, wrzucał niegdyś zgrzybiałe babuleńki, poczem przez chwilę kręcił korbą, i owóż babka zmielona w miałki proszek, wybiegała z młyna hożą dziewoją z błyszczącym okiem, z usty koralowemi, cerą utkaną z róż i lilii.

Elektorowie i hrabiowie nassauscy, spoglądali na siebie z uśmiechem jak niegdyś Rzymscy augurowie. Doktór Pasquay co lato opuszczał Frankfurt, przenosił się do Schlangenbadu i zgarniał złoto pełną ręką, tłumy bowiem Francuzek, Angielek, Niemek, Holenderek, słowem modnych pań ze wszystkich krańców Europy, garnęły się do krynic obdarzonych tak czarodziejską siłą. Te, którym niepodobna było narażać się na daleką i ciężką w te czasy podróż, sprowadzały wodę w kamionkach. Według zapisków miejscowych, na dwór szwedzki wysyłano rok rocznie do 6,000 kamionek, do Wiednia na dwór Maryi Teresy dostarczano ich po czterysta na miesiąc.

Woda nie czyniła cudów: panie skąpane w Schlangenbadzie starzały się i umierały zwyczajnym trybem, ale czy to że miłość własna zaślepiała wiele z nich, przedstawiając im ich wdzięki w pochlebnem świetle, spotęgowane wyobraźnią, czy też w rzeczy samej, wpływ kąpieli połączonej z ruchem na świeżem powietrzu i myślą swobodną, powracał krasę nie jednej zwiędłej twarzy, tradycya o własnościach odmładzających Schlangenbadu, przechodziła z pokolenia na pokolenie, i wysyłała na dolinę Taunusu całe chmary tych wietrznych istot. które nieśmiertelny nasz poeta nazwał był niegdyś puszkiem marnym! Tak rzeczy przetrwały do końca ośmnastego wieku; aż rewolucya francuzka i wynikłe z niej wojny nadreńskie, położyły koniec tym peregrynacyom i znów opustoszyły tę czarodziejską ustroń.

Za czasów Napoleona I-o, Schlangenbad z księztwem Hessen-Cassel dostał się pod panowanie Francuzów, ale jak widać pierzchł urok przywiązany do tych krynic. Ani Cesarzowa Józefina, tak dbająca o swe wdzięki, ani córka jej królowa Hortensya, ani żadna z siostr cesarskich, nie zawadziły nigdy o góry Taunusu, moda ówczesna upodobała sobie Plombiere i inne zdroje tak w Wogezach jak w Alpach Sabaudzkich.

Schlangenbad zarósł dzikim chwastem; omszałe mury kurhauzu i gmachów kąpielnych, jęły rozsypywać się w gruzy. Zarząd miejscowy postanowił sprzedać je na garbarnię. Wtem przypadła wojna w 1813 r. i krew toczyła się po obu stronach Renu. Wówczas to urządzono szpital wojskowy w tym smutnym kurhauzie, o którego ściany rozlegała się niegdyś wesoła wrzawa biesiadników. *Sic transit gloria Mundi!*

Miała przecież wybić godzina odrodzenia. Traktat wiedeński przerabiając na nowo kartę Europy, przyznał księztwu Nassauskiemu południowe stoki Taunusu. Chojnie obdarzony książę, ujrzał się panem czterdziestu mineralnych zakładów: obok Ems, Wiesbadenu, Schwalbachu i innych zdrojów, zasłynął na nowo Schlangenbad. Wyszedł zwycięzko z ostatnich przewrotów, którym wielka ojczyzna niemiecka zawdzięcza jedność swoją. Podczas gdy Ems, Wiesbaden, Baden-Baden, Hombarg utraciły ruletę, gdy książę nassauski utracił dziedziczne swe księztwo, Schlangenbad pozostał czem był, rozkoszną doliną otuloną górami, drogą miłośników ciszy leśnej i spokojności.

W obec dzisiejszego racyonalizmu nie ostał się cudowny urok przywiązany do wód tutejszych. Co więcej lekarze usiłują wybić go z głowy pacyentkom. Utrzymują oni że przesądna wiara w odmładzające skutki tych krynic, więcej im szkodzi niż pomaga; czczą bowiem ułudą przyćmiewa najrzeczywistsze ich zalety. Zdaniem lekarzy wody schlangenbadzkie nie są bynajmniej ową fontanną wiekuistej młodości, jak je przedstawiał frankfurcki doktór Pasquay, ale za to dzielny stanowią środek, do przywrócenia równowagi nerwom, starganem mo zolną pracą umysłową, lub sztucznem życiem po wielkich miastach bez powietrza i ruchu.

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum z I kwartału 1880 r. (Styczeń — Marzec).

(Dalszy ciąg).

Co to za tytaniczne potęgi zjawiły się u nas niedostrzeżenie, ażeby popchnąć na nowe tory społeczeństwo, literaturę lub choćby jednę jej gałęź, a którym p. Chmielowski nie waha się poświęcić osobnego studyum? Pokazuje się, że „młode siły“ to p. Orzeszkowa, pp. Sienkiewicz i... Okoński, inaczej Świętochowski, a objawami tych sił są drobne powiastki pierwszej, Szkice drugiego i płody ostatniego—jedne także szkice, inne szumnie nazwane dramatami. Według naszego skromnego mniemania, p. Orzeszkowa pisuje niezłe powieści, czasem wprawdzie jednostronno-tendencyjne o przesadnym kolorycie i zamało chrześciańskie, ale „siłą“ nie jest żadną; pan Sienkiewicz (Litwos) jest zręcznym felietonistą i dobrym spostrzegaczem życia realnego, ale jego obrazki grzeszą pesymizmem i częstokroć obrażają uczucie estetyczne, że już nie wspomnę o innych; co się zaś tyczy p. Świętochowskiego—pisarza wszechstronnego, który jest nietylko dramaturgiem i powieściopisarzem, ale także dziennikarzem, filozofem, krytykiem i moralistą—zaprawdę „siłą“ może go nazwać tylko uznający filary Przeglądu Tygodniowego, którego p. Okoński był „enfant terrible,“ chociaż już podobno zerwał z tem pismem rachunki... Rozumiemy to dobrze że o p. Świętochowskim, chociaż żyjącym, można mówić tylko aut bene aut nihil (albo dobrze albo nic), gdyż ten pisarz i uczony nie znosi nieprzychylnych krytyk i nagany, mając jako narzędzie piorunującej zemsty dawniej „echa“ Przeglądu Tygodniowego, a dzisiaj — własne „Nowiny“ —dla tego też zwykle „wiekopomne“ (w jego własnem przekonaniu) jego utwory pomijane są przez wszystkich milczeniem; ale wyniesienie tego autora do rzędu „tak wysokich i dzielnych potęg“ dziwi nas, nawet ze strony p. Chmielowskiego. Dla czego mianowicie recenzent uważa tych pisarzy za „tak wielkie siły“—nie wyjaśnia nam tego w swej pracy; streszczenie zaś i nawet ocena ich roztrząsanych utworów, przy całej nawet pobłażliwości i panegirycznem usposobieniu p. Chm. nie wykazuje nic więcej nad talencik nowelistyczny, a czasem mierność i bladość... Większe utwory p. Orzeszkowej mają wiele zalet, ale drobne obrazki, drukowane w odcinkach gazet, o których mówi recenzent, niewielkiej są wartości; dla czego zaś podobało się recenzentowi zestawić pod jeden sztandar Orzeszkową z Świętochowskim i Sienkiewiczem—jasno nam tego nie wypowiada, ale z powodzi frazesów możemy wnosić, że uważa tę trójkę za przedstawicieli pozytywizmu. Już to p. Chmielowski w pismach swoich zawsze okazywał już to skłonność ku pozytywizmowi, już to pobłażanie względem tego kierunku—zależało to od pisma, w którem prace swe drukował ale tą razą wypadało wypowiedzieć się jaśniej. O pozytywizmie (warszawskiego gatunku) p, Okońskiego v. Świętochowskiego nie może być wątpliwości, ale czy z takiego towarzystwa będą zadowolnieni Orzeszkowa i Sienkiewicz—nie wiem. Dostrzeżono to już wprawdzie dawniej, że w powieściach Orzeszkowej nietylko nigdzie nie ma kolorytu ani wpływu chrześciańskiego, ale owszem zdarzają się napady na chrześciaństwo lub lekceważenie jego zasad, wszelako autorka nie wyszydza wielu innych drogich sercu naszemu zasad, lecz często je podnosi, co nie jest rzeczą trzźwego pozytywizmu. Chociaż więc w ostatnich czasach spotykaliśmy nazwisko Orzeszkowej, niestety, zbyt często na kartach Przeglądu Tygodniowego, nie mamy jeszcze prawa zaliczać ją do szkoły czy sekty, którą, jak Atlas nowożytny, podtrzymuje na swych barkach p. Świętochowski. Co się zaś tyczy Sienkiewicza czyli Litwosa, ten, pomimo swego realizmu, dotąd niczem, zdaje się, nie zasłużył aby go rachowano do jednej z Okońskim szkoły i nie wiem czy będzie wdzięczny p. Chmielowskiemu za zaszczyt, którym został obdarzony.

Nakoniec i to łatwo zrozumieć, że pisarze żyjący, nie genialni i epoki jeszcze nie stanowiący, pisarze, których talent, jakimkolwiek mógłby się wydawać stronnikom i przeciwnikom, znajdujący się jeszcze w dobie rozwoju, nie powinni (chyba z pobudek osobistych lub panegirycznych) stanowić przedmiotu studyów literackich. O „dziełach“ owych „sił młodych“ wystarczyłaby wzmianka na kilka najwyżej stronicach, zamiast studyum w dwu zeszytach Ateneum, o trzydziestu sześciu stronicach...

Ciekawa ta recenzya zasługuje jednak, jeśli nie na recenzyą, to przynajmniej na kilka przytoczeń, dowodzących że częstokroć mimowolnie oddany przez recenzenta hołd prawdzie, zostaje w sprze-

czności z jego ogólnemi wnioskami i sumarycznemi pochwałami panegiryku.

Pomijam już osobliwsze twierdzenie pana Chm. że dla krytyka najważniejszą jest rzeczą „odgadnąć przyczyny, dla czego tak a nie inaczej dany utwór się ukształtował“ (styczeń str. 153)—co chociaż jest niby zasadą krytyki pozytywnej, ale wymagałoby wyczerpującej znajomości nietylko osoby krytykowanego autora, nietylko dziejów całego jego życia, wychowania i t. d. ale nadto potrzebaby (mówiąc językiem pozytywnym) „zajrzeć w samą głąb mózgu autora;“ pomijam także niezupełnie prawdziwe twierdzenie, jakoby Mickiewicz w Panu Tadeuszu *przedmiotowo* traktował osoby i zdarzenia, przytoczę tylko parę uwag recenzenta o roztrząsanych utworach.

Zachwycając się powiastką Sienkiewicza „Hania“ drukowaną niegdyś w Gazecie Polskiej i potem, bez szczególnej potrzeby przedrukowywaną jako nowość a nad wartość swą wychwalaną, recenzent uwielbia typ samej bohaterki utworu; ale wnet potem uznaje że „Hania nie posiada cech wybitnych“, że czasem „staje się przebiegłą i niedomyślną“ (styczeń str. 165). To już zagadka: rozumielibyśmy, gdyby recenzent powiedział że Hania „staje się przebiegłą i domyślną,“ gdyż zwykle *domyślność* stanowi istotną cechę *przebiegłości*, coby to zaś była za przebiegłość, która łączy (według pana Ch.) z *niedomyślnością*—trudno to pojąć. Ale oto druga zagadka. Hania, powiada recenzent, „zostaje siostrą miłosierdzia, aby nie zmuszać *do niemiłych ślubów* nikogo: ani tego co ją kochał, ani tego którego i ona kochała“ (tamże). Według zwykłej logiki, *zmuszać* do *niemiłych* ślubów, zdaje się, nie ma potrzeby ani tego, który kocha, ani tego, którego się *nawzajem* kocha: dosyć będzie, co do pierwszego, aby panna raczej zmusiła *siebie* do poślubienia tego, który ją kocha; a śluby te chyba *niemilemi* dla kochającego nie będą; co do drugiego zaś — rzecz jeszcze osobliwsza, jakim sposobem panna mogłaby *zmusić do niemiłych ślubów* tego, który ją kocha i którego ona też kocha nawzajem...

O dramatach Okońskiego p. Chmielowski mówi że w nich „bogactwo i różnorodność natury ludzkiej są sprowadzone do minimum“ (to jest prawie do zera); znajduje że „temperatury i charaktery zacierają się, a czasem nawet znikają zupełnie;“ gani że „wszystkie osoby przemawiają językiem właściwym samemu autorowi, czy to będzie niewolnik grecki z VI wieku przed Chr., czy patrycyusz rzymskich z czasów Cezara, czy szlachcic polski XVIII wieku;“ powiada że bohaterowie dramatów p. Okońskiego są mało zdolni do czynu, drażliwi, nerwowi, uciśnieni, pesymiści i cynicy potrochu;“ (Styczeń str. 169—170). Czytamy dalej że „postacie i warunki, w których żyją, są dosyć jednostajne,“ nakoniec recenzent dochodzi do wniosku, że nazwa dramatów niewszystkim owym utworom przystoi. Zdaje się że tych sądów byłoby dosyć do oparcia na nich potępiającego wyroku, ale wtedy wypadłoby ograniczyć się krótką wzmianką i obejść się bez obszernego studyum o utworach tej „młodej siły“.

O powiastkach tegoż autora recenzent powiada że ich bohaterowie „wyłącznie dążą do zapewnienia sobie sposobu życia a bardzo mało wiemy o tem, jak ci ludzie bawią się i co myślą po za obrębem tej swojej wyłącznej działalności“ (str. 174). Nie przeszkadza to jednak recenzentowi zachwycać się niektóremi pojedyńczemi szczegółami owych powiastek, jak np. obrazem żyda Symchy „skubiącego liście buraka i rzucającego je kurom, które daremnie oszukać próbował“ (str. 174 — a to doprawdy pomysł genialny—tylko powstrzymujcie się od śmiechu, czytelniczki, jeżli zdołacie).

Największą jednak osobliwość zachowaliśmy na sam koniec. W powiastce zatytułowanej „Szkice węglem,“ Sienkiewicz wystawił włościankę Rzepową, która usiłuje uwolnić swego męża od służby wojskowej i nie znalazłszy ani rady ani pomocy u księdza ani u dziedzica, oddaje się w końcu pisarzowi gminnemu w tym samym szlachetnym celu. Pan Chmielowski mówiąc o tej powiastce, w której głosy poważniejszych sprawozdawców dopatrzyły sporo dosyć brudnego realizmu połączonego z przesadnym pesymizmem w poglądzie na klassy świeceńsze i ich stosunek do ludu, pan Chmielowski nie znajduje słów dla wyrażenia swego uwielblenia dla owej Rzepowej i posuwa się nawet do twierdzenia, że jest to „jedna z najpiękniejszych postaci niewieścich w naszej literaturze“ (str. 158). Doprawdy, nie przypominam sobie aby od czasu walki klassyków z romantykami ktośkolwiek wypowiedział u nas drukiem większą niedorzeczność, a nawet bluźnierstwo. Jakto, więc ta postać bosej i brudnej wieśniaczki, która ani czytać ani pisać nie umie, „o umysłowości, jak powiada sam pan Ch., bardzo ograniczonej,“ nie posiadająca, również według własnych słów recenzenta, „żadnego poetycznego uroku“—ta postać ma być, z wyroku pana Chmielowskiego, wyniesioną na piedestal obok Grażyny, Aldony, Zosi i Maryi? Nie spadliśmy jeszcze, dzięki Bogu tak nizko i owa ubóstwiona Rzepowa, za to chyba że „zrobiła bezowocne poświęcenie ze swej czci niewieściej, nie wejdzie do panteonu literatury; mniemam nawet, że nie weszłaby nawet wtedy, gdyby owo poświęcenie było „owocnem;“ ja przynajmniej nie głosowałbym za jej wprowadzeniem na taką wyżynę, nawet gdybym jak najwięcej rozkoszował się dziejami stosunku Żołzikiewicza do Rzepowej, nawet gdybym był najbliższym znajomym lub przyjacielem Sienkiewicza czyli Litwosa.

Rozszerzyłem się może zanadto o recenzyi pana Chmielowskiego, ale uważałem to za konieczne w celu wykazania, jak nizko może upaść spółczesna u nas krytyka i jakie wyroki głosi „znany nasz krytyk“ i filar działu recenzyi w Ateneum.

Styczniowy i lutowy zeszyty Ateneum zawierają aż dwie powieści — za wiele, jak na czasopismo poważne: oryginalną Kraszewskiego p. t. Szalona i tłomaczoną z hiszpańskiego p. t. Gloria, której dokończenie przeniesionem tu zostało z roku przeszłego. Takie przenoszenie, znane w pismach codziennych i tygodnikach, jako jeden ze środeczków zachęcenia prenumeratorów, nie powinnoby być używane przez czasopismo poważne, czyli raczej czasopismo poważne nie powinno potrzebować takich manewrów, lecz posiadać inne przynęty. Zresztą przynęta to, zdaniem naszem, niezbyt pociągająca, gdyż owa Gloria jest zaprawdę osobliwszym utworem. Mamy tu i niebo i ziemię, co w zasadzie jest rzeczą naturalną, skoro człowiek jest zawieszonym pomiędzy niebem i ziemią, a składowemi jego częściami są duch i ciało: ale w tej powieści hiszpańskiej żywioły nadziemski i ziemski, posunięte są oba do ostatecznych krańców... Mamy tu więc całe karty gorących afektów wiary, zachwytów mistycyzmu i uniesień serafFicznej pobożności w guście Kalderona, a obok tego całe stronice dziejów niezbyt budujących, zanadto ziemskich, w całej nagości szczegółów przedstawionych. Sama bohaterka Gloria jest takim zlepkiem dwu ostateczności, niezgodność jej niemoralnego postępowania z głęboką i gorącą religijnością mogłaby naprowadzić czytelnika na myśli, że może tajemnym celem autora było zohydzenie tej religijności, a kierunkiem powieści—odwieczna satyra przeciwko ascetyzmowi i świętoszkostwu: wszelako zakończenie powieści i śmierć Gloryi—autor nie znalazł innego rozwiązania nad spowszedniałe uśmiercenie — usuwają powyższe przypuszczenie i ostatecznie doprowadzają nas do wniosku, że autor poprostu chciał ubawić siebie i czytelników sprzężeniem dwu rażących kontrastów, bez należytej znajomości psychologicznej, nie zdoławszy zająć czytelników urozmaiceniem akcyi ani umiejętnem przedstawieniem charakterów. W ogólności może podobne utwory przypadają do gustu mistyczno-zmysłowych Hiszpanów, ale na nas czytanie Gloryi wywiera wrażenie już to odurzające już to nużące.

(d. n.)

Opis Ryciny Kolorowéj.

Suknia z lnianego ciemnego materyału ozdobiona szlakami haftowanemi różnokolorowo w maszynie. Przy tunice dużo podpiętej z boku, szeroka frendzla z siatkowym nagłówkiem, przyrabiana do odzierganych zębów haftu. Spódnica zakończona szerokiem napowietrznem plisowaniem; kapelusz ozdobiony kwiatami, koronką i szerokiemi barbami z tiulu. Parasolik z tego co suknia materyału, oszyty koronką wywodzoną kolorowemi jedwabiami.

Ubranie z jasno niebieskiego muślinku z tunikową skośną draperyą ozdobione jest wstawkami i koronką *valenciennes*. Kołnierz z ranwerzem, ubranie rękawów i kokardy z atlasu, którym także ubrany kapelusz.

Zawiadomienia.

W opowiedzi na zapytanie Korespondentów, podaje do wiadomości, że pan *Jan Hennel mechanik* zamieszkały *w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej № 63*—w pobliżu Ogrodu Saskiego, przyjmuje do naprawy maszyny do szycia wszelkiej konstrukcyi. Nadsyłane z prowincyi winny być pomieszczone w pudłach, okryte płótnem i dobrze opakowane sianem, aby zbyt wielkiemu w podróży nie uległy wstrząśnieniu; pedałowe zaś należy odśrubować od stołu i same nadsyłać—przytem uprasza się o adres wyraźnie napisany.

Za dobre wykonanie naprawy, umiarkowaną cenę i uczciwy stosunek z interesantem, poręcza

J. K. Gregorowicz

Redaktor Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 19 Августа 1880 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 36 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

T. MARYAT.

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Doktór Ford spotkał strapionego ojca nad schodami pierwszego piętra, i ten poprosił go aby wszedł z nim do gabinetu zanim pójdzie odwiedzić chorą.

— Kochany doktorze, dlaczego tak dawno nie odwiedziłeś miss Beauclerc? już od trzech dni cię oczekujemy... Dziś stan zdrowia biednej mojej córki tak mnie przeraził, iż zmuszony byłem przyzwać cię pomimo tak szkaradnego czasu.

— Mniejsza o deszcz i wicher, odrzekł spokojnie doktór, martwi mnie tylko że wizyta moja okazała się potrzebną... Nie przewidywałem tego gdy ostatni raz odwiedzałem miss Beauclerc.

— Ale stan jej zdrowia tak nagłym podlega zmianom, iż powinienbyś odwiedzać ją codziennie a nawet dwa razy dniem, kochany doktorze.

Ulryk odrzekł bardzo poważnie.

— Gdybym widział tego potrzebę, odwiedzałbym córkę pana po parę razy na dzień, ale zapewniam pana że nie ma niebezpieczeństwa, a czas mój tak jest zajęty...

— Wiem dobrze jak drogim jest twój czas, doktorze, ale pozwól mi powiedzieć sobie że kwestya pieniężna jest dla mnie niczem, a zdrowie jedynej córki wszystkiem.

— Gdyby nie wiedzieć jak częste odwiedziny moje, mogły uleczyć miss Beauclerc, bądź pan przekonanym że nie szczędziłbym ich choćbyś był największym nędzarzem w całem Rockborough, odpowiedział. Czy mogę zapytać jakież to tak niepokojące dostrzegłeś pan symptomata?

— Zdawała się tak dobrze gdy raz ostatni odwiedziłeś ją, doktorze, ale następnie codziennie miewała silne ataki nerwowe, i to w godzinę lub dwie po czasie w którym zwykle przychodzisz. Ani wczoraj ani dziś nie mogliśmy skłonić jej do przyjęcia jakiegoś posilniejszego pokarmu; od rana do wieczora wzdycha i płacze... Matka jej jest w rozpaczy.

— Odwiedzę miss Beauclerc skoro pan tego żądasz, odpowiedział doktór Ford, ale wyraz twarzy jego mówił że zupełnie o to nie dbał.

Choroba miss Beauclerc była jedną z najprzykrzejszych i najtrudniejszych do leczenia, ponieważ była raczej moralną niż fizyczną. Doktór Ford poznał jej źródło, ale uczciwość i delikatność nie dozwalało mu odkryć go komukolwiek.

— Zmiana powietrza i miejsca pobytu więcej pomoże córce pana niż wszystkie moje recepty. Trzeba koniecznie żeby opuściła Rockborough, dodał, wchodząc w korytarz prowadzący do pokoju miss Beauclerc.

— I jabym tego pragnął, ale Emilka ani słyszeć o tem nie chce. Proszę, pomów z nią o tem, doktorze, i przedstaw jak wyjazd ztąd zbawiennie oddziała na jej zdrowie.

Weszli do pięknego, kosztownie urządzonego sypialnego pokoju, w którym leżała na szeslongu ładna dziewiętnasto-letnia dziewczyna, ubrana w biały kaszmirowy negliż. Obok niej siedziała jej matka.

Doktór powitał panią Beauclerc i wysłuchawszy z jej ust powtórnego opisu symptomatów choroby młodej dziewczyny, zbliżył się do niej i wziąwszy za rękę zaczął liczyć uderzenia jej pulsu.

Pod ujęciem palców doktora, puls podnosił się i opadał jak najnieregularniej; Ulryk prędko puścił jej rękę i spokojnie schowawszy zegarek do kieszeni zwrócił na nią swe spokojne, pewne spojrzenie. Biedna dziewczyna podniosła się i usiadła; policzki jej płonęły z pół otwartemi ustami wpatrywała się w niego, jak gdyby słowo jakie miał wymówić, stanowiły dla niej wyrok życia lub śmierci.

Gdy oczy Ulryka spotkały się z jej spojrzeniem pełnem tak niewysłowionego wzruszenia i niepokoju, twarz jego nie zmieniła ani na chwilę zwykłego surowego i spokojnego wyrazu, nie odbił się w niej nawet choćby najsłabszy ślad litości. Bo też pewnie jej i nie uczuwał, gdyż zazwyczaj tak mężczyźni jak kobiety nie mają współczucia dla uczuć których nie podzielają.

— Miss Beauclerc, rzekł, muszę ci inną przepisać kuracyę, skoro dotychczasowa nie pomaga. Mówiłem właśnie ojcu pani iż trzeba koniecznie abyś na jakiś czas opuściła Rockborough.

— Och! nie!... nie!... zawołała gorączkowo zaciskając ręce. Nie zmuszajcie mnie do oddalenia się ztąd, jeźli nie chcecie mej śmierci... pozwólcie mi pozostać... będę posłusznie zażywać co mi pan przepiszesz, robić co mi każecie, tylko nie każcie mi ztąd wyjeżdżać.

— A jednak jest to jedyne i najlepsze lekarstwo dla miss Beauclerc, odrzekł spokojnie doktór zwracając się do matki. Nie można więc zważać na jej niechęć... a zresztą pewny jestem że niezadługo sama będzie z tego zadowolniona.

— Nie!... nie!... ja nie chcę opuszczać Rockboroughu... wołała biedna dziewczyna, zanosząc się spazmatycznym płaczem. Nie chcę, nie mogę się ztąd oddalić... jesteś pan niedobry i okrutny... nikt nie dba o mnie... nikogo to nie obchodzi czy ja umrę czy żyć będę.

— Ach! jak możesz tak mówić, droga Emilko, wiedząc że i ja i ojciec twój pragniemy tak gorąco twojego szczęścia i powrotu do zdrowia.

— Właśnie podwójny cel ten zostanie osiągnięty za pomocą kuracyi jaką przepisuję, rzekł Ulryk wstając. Dobranoc pani; proszę powtórzyć przepisaną miksturkę. Dobranoc, miss Beauclerc.

Ale dziewczę nic mu nie odpowiedziało, ukrywając w poduszkach twarz zalaną łzami.

— Wszak przyjdziesz jutro, doktorze? rzekła pani Beauclerc.

— Nie uważam aby wizyta moja była potrzebną, odrzekł, chcę tylko pomówić jeszcze z panem Beauclerc.

Ukłonił się i wyszedł.

— I cóż, doktorze? zapytał ujrzawszy go niespokojny ojciec.

— Jak już powiedziałem nie ma nic ważnego, i sama zmiana powietrza uleczy córkę pana. Posłuchaj pan mojej rady; wywieź żonę i córkę do Szwajcaryi lub do Włoch na kilka miesięcy, a przekonasz się że miss Beauclarc powróci świeża jak róża i zupełnie uleczona ze swych cierpień. Wmawia w siebie chorobę i z tego rozchorowaćby się mogła. Co zaś do odwiedzania jej; wyszłoby to żebym darmo przyjmował od pana honorarium, a temu sprzeciwia się moje sumienie.

— A gdybym pana prosił o to jako o dowód przyjaźni...

— Największy jej dowód daje panu właśnie w tej chwili skoro radzę abyś stąd wyjechał z córką,— i uczyń to pan dla jej zdrowia i szczęścia.

— Usłucham twojej rady, doktorze, i na zawsze wdzięcznym ci pozostanę. Dziś jeszcze porozumiem się z żoną abyśmy mogli wyjechać jak najprędzej.

Pożegnali się uściśnieniem dłoni.

Czy opuszczając pałac pana Beauclerc, doktór uczuł to wewnętrzne zadowolnienie jakie wyradza się w nas po spełnieniu dobrego uczynku, i czy rad był że oparł się nasuwającej mu się pokusie — bo nie jestże to nader silną pokusą dla mężczyzny jeźli pokocha go młoda i ładna kobieta?... Ani jedno ani drugie. Dawno już wziął rozbrat z romantycznemi uczuciami; czuwał troskliwie nad sercem swojem aby uczucie nowej miłości nie mogło się w niem zrodzić; i wierzył że on, który kiedyś czuł i kochał tak gorąco już dziś nie mógłby żadnej pokochać kobiety. Nasunął kapelusz na oczy, aby wiatr nie zdarł mu go z głowy i tylko zapytał siebie w duchu czemu ta ładna dziewczyna jemu właśnie oddała serce, skoro w mieście było tylu młodszych i piękniejszych, którzy najniezawodniej odpłaciliby jej się wzajemnem uczuciem.

III.

Depesza telegraficzna.

Wyszedłszy od pana Beauclerc, doktór zwrócił swe kroki do skromnego ale schludnego domku: zadzwonił lekko do drzwi i gospodyni domu otworzyła je natychmiast. Była to stara panna z twarzą wychudłą o ostrych, wyrazistych rysach, złagodzonych przecież rozlanym w nich wyrazem uczucia i niepokoju.

— A! wiedziałam że to pan, doktorze Ford! Powiedziałam jej prawdę; zapytała mnie tak stanowczo, że nie mogłam postąpić inaczej.

— O! to nie dobrze, odpowiedział spokojnie zdejmując zmoczone deszczem odzienie; wszak zaleciłem wyraźnie aby nie dopuszczać niczego coby mogło żywsze u niej wywołać wzruszenie.

— Tak, ale cóż miałem czynić? Gdy wieczorem podawałam jej herbatę, spojrzała mi bystro w oczy i zapytała wprost:

„Wszak prawda Lociu że ja muszę umrzeć?"

Panie doktorze, dotąd nigdy nie powiedziałam jej ani słówka nieprawdy, miałażem zrobić to teraz, gdy lada chwila mamy pożegnać się na zawsze?... Oh! przyznaj pan że to było niemożebnem... Biedna moja Aneta!...

Weszli do małego, smutnego i bardzo, bardzo skromnego saloniku, w którym posadzka przykryta

była prostym kilimkiem w czarną i zieloną kratę, a krzesła pokryte włosiennicą. Nad kominkiem porozkładane były pospolite muszle i figurki; jednak mimo swego ubóstwa pokój ten w tej chwili głębokie na wchodzących wywierał wrażenie — był to przybytek cierpienia.

— Ale wszak to nie pogorszy stanu jej zdrowia? pytała miss Warren z niewysłowionym niepokojem; nie przyśpieszy... końca... i jej szorstki zwykle głos w cichy szept się zamienił.

Ulryk z współczuciem ścisnął jej rękę.

— Pod tym względem bądź pani zupełnie spokojna; niech to będzie ci pociechą że nic nie zdołałoby przedłużyć jej życia więcej jak na parę dni.

Doktór Ford nie zastanowił się że była to bardzo smutna pociecha. Usłyszawszy jego słowa, biedna miss osłabiona długiem doglądaniem chorej i tak ciężkiem strapieniem, nie mogła utrzymać się na nogach, padła na kolana i zasłaniając twarz wychudłemi rękami, spazmatycznym zaniosła się płaczem.

Doktór poczekał chwilę jak gdyby była jego siostrą lub dawną przyjaciółką, a gdy się nieco uspokoiła, położył lekko rękę na jej ramieniu, mówiąc:

— Chodźmy, nie zapominaj miss Warren że chora potrzebuje jeszcze twojej pomocy i opieki, a na smutek i łzy, niestety! potem aż nadto będziesz mieć czasu.

Wiedział że mówiąc do miss Warren nie mógł silniejszego użyć argumentu. To też zaledwie usłyszała jego słowa, wstała, otarła oczy i mogła poprowadzić doktora do łoża chorej.

— Jakże przyjęła to smutne oznajmienie? zapytał cicho, wchodząc po przykrych wązkich schodkach prowadzących na pierwsze piętro.

— Jak święta, wierząca głęboko... A! gdybyś pan był słyszał i patrzył na nią w owej chwili, zobaczyłbyś co może gorąca wiara i pobożność!...

Zaledwie weszli do pokoju chorej, ta zwróciła się do Ulryka, mówiąc:

— Doktorze, dlaczego obawiałeś się powiedzieć mi prawdy? byłaby ona dozwoliła mi odważniej znosić tak długie cierpienia. Nie raz byłam bardzo, bardzo niecierpliwa, a przecież stroma ścieżka jaką przebywałam, prowadzi do wiecznego spokoju i wiekuistej szczęśliwości... Ach! jakże Bóg jest dobry!

— Jakże mnie cieszy to pani usposobienie, rzekł doktór licząc szybkie tętna coraz więcej słabnącego pulsu. Często podobne zawiadomienie bardzo pogorsza stan zdrowia chorych, i dla tego nie chciałem pani tego mówić.

— A! widać tacy chorzy nie wierzą w życie po za grobem... biedni oni! nie umieją uważać śmierci za próg do wiecznego życia.

— Miss Warren, rzekł doktór poważnie; proszę, nie poddawaj się tak żywemu wzruszeniu, osłabia cię to i martwi twoją siostrę, a wiem że nie chciałabyś powiększać jej boleści.

— Biedna, biedna, moja dobra ukochana Locia, rzekła chora, i obie siostry uściskały się tak gorąco, jak gdyby jeszcze były młodemi dziewczętami. Biedna Locia! ileż to w ostatnich dniach przebyła zmartwień i trudów... ale odtąd będę cierpliwszą... Jednakże, doktorze, nie wymagaj aby stłumiła pewne wzruszenie. Pomyśl tylko co czuję w duszy wiedząc teraz że może za kilka godzin stanę przed tronem Zbawiciela który cierpiał i umarł za nas, że u stóp Jego błagać będę aby przebaczył jeźli nie umiałam tak mu służyć i kochać jak kochać go należy... Ach! jakże gorąco pragnę umrzeć jak najprędzej!...

Wtem usłyszała głośny płacz siostry i myśl oderwana od nieba zwróciła się ku niej.

— Droga, ukochana Lociu, smutno mi że cię tak samą zostawię na świecie... tem się pocieszajmy że to nie na długo... Doktorze, powiedz jej że nie powinna płakać, jak ci co nie wierząc w życie przyszłe żednej nie mają nadziei... przyjdzie chwila że znów na wieki będziemy razem.

Zmęczona długiem mówieniem, chora opuściła głowę na poduszki.

— Bądź pani spokojna, rzekł doktór łagodnym: pełnym współczucia głosem. Nie mów tak wiele, to wyczerpuje twoje siły. Przyślę pani uspakajające lekarstwo abyś mogła spać w nocy; obiedwie z siostrą bardzo potrzebujecie wypoczynku.

— O! ja już nie! zawołała z radością chora; wkrótce już nie będę czuć ani zmartwień, ani bólu, ani zmęczenia,—ale zażyję lekarstwo dla uspokojenia Loci.

Doktór pożegnał się i wyszedł. Gdy skręcił w boczną uliczkę, Irlandka wybiegła ze sklepiku korzennego i zastąpiła mu drogę.

— Ach! dobry panie doktorze, mówiła, wejdź pan na chwilę pocieszyć biedną Biddy, która tak bardzo cierpi i płacze.

Doktór Ford nie zawahał się ani chwili, jakkolwiek pragnął już jak najprędzej powrócić do domu, pochylił się aby przejść przez nizkie drzwiczki i minąwszy sklepik znalazł się w małej izdebce od podwórza.

— No cóż, Biddy, rzekł do skulonej na ziemi kobiety, płaczącej rzewnemi łzami, jakże się ma dziecko?

— O! doktorze, biedaczek mój już od dwóch godzin przestał cierpieć... serce mi pęka z żalu... To powiedziawszy zasłoniła twarz fartuchem i pierś jej konwulsyjnem podnosiła się łkaniem.

— Umarło? zawołał doktór; dla czego nie daliście mi znać jak tylko najlżejsza zaszła zmiana, wszak wam to przykazałem?

— Prawda, panie doktorze, ale stało się to tak prędko i nie widzieliśmy żadnej zmiany—a potem czyżbyśmy śmieli żądać abyś pan wychodził w czas tak okropny, dla odwiedzenia dziecka takich jak my biedaków, odpowiedziała Irlandka która go przyprowadziła.

— Trzeba było zrobić com kazał, rzekł doktór surowo, wiecie że najbiedniejszym nędzarzom nigdy nie odmawiam pomocy.

— Ach! nie ma, nie ma już mego Brianka, wołała biedna matka załamując dłonie.

— Uspokój się, biedna moja Biddy, rzekła Irlandka kładąc jéj rękę na głowie; nie sama tylko cierpisz. Matka Boska widzi łzy twoje i boleje nad tobą; wszyscy święci podzielają twój smutek... Oni czuwają nad twoim Briankiem i oddadzą ci go zdrowego i wesołego. gdy i ty pójdziesz tam za nim... A nastąpi to prędzej niż się zdaje—wszak wszystko tu tak prędko mija...

Te ostatnie słowa wpłynęły uspakajająco na nieszczęśliwą matkę; przestała gwałtownym zanosić się płaczem i wsparła głowę na ramieniu starej przyjaciółki.

Doktór był żywo wzruszony; widząc jednak że żadnej innej prócz materyalnej nie może udzielić pomocy, wsunął jej w rękę sztukę złota, upominając zarazem żeby nie zapominała że ma jeszcze drugie dziecię i starała się panować nad swoją boleścią.

Wracając do domu zastanowił się nad tem co widział; był zamyślony ale nie smutniejszy niż zwykle, gdyż zanadto był oswojony z podobnemi przejściami.

W cóż on wierzył? czego pragnął i czego się spodziewał? Jakie były myśli jego odnośnie do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości? Czyż wspomnienia, uczucia, religia, śmierć nawet, żadnego już na niego nie wywierały wpływu? Byłożby prawdą co utrzymywali jego przyjaciele, że w sercu jego wszelkie już zamarły uczucia, że nic nie był zdolny kochać prócz swego zawodu?... Tylko czas i okoliczności mogą odpowiedzieć na te pytania.

Gdy wrócił do domu, Wheler wyłącznie przeznaczony do jego usług, zdjąwszy z niego paltot, oddał mu listy przyniesione podczas jego nieobecności.

Czem się to dzieje że wszyscy lokaje u dentystów i doktorów, są jakby na jeden urobieni model? Czy *tressują* ich na to od urodzenia czy dobierają według odpowiedniej powierzchowności i twarzy?... czy obuczają ich według ścisłej, surowej mody, aby następnie wtajemniczyć w tajemnice gabinetu konsultacyjnego i straszniejsze jeszcze sali operacyjnej. Twarze ich mogą być nieco odmienne, ale obejście jest stereotypowem odbiciem jednego modelu, i wszyscy zdają się tworzyć jednaką i też samą jednostkę.

Zauważcie tylko jak taki zaufany lokaj ostrożnie i cicho drzwi otwiera, jak stara się ośmielić zapytujący cichutko czy pan jego uprzedzony jest o waszem przyjściu; następnie jak z uszanowaniem otwiera drzwi sali w której przybyli po radę oczekują, gdy już przekona się że wasze tam wejście nie będzie nielegalnem.

W tej smutnej i posępnej sali, siedzą rzędem do koła wasi towarzysze nieszczęścia, smutne ofiary skazane na męki oczekiwania i wyczekujące w ponurej rezygnacyi fatalnej godziny przyjęcia. Wtem zaufany lokaj ukazuje się w sali, zrywasz się ożywiony szaloną nadzieją że zostaniesz wpuszczony nie czekając nieszczęsnej kolei, ale surowe spojrzenie *famulusa* studzi niewczesne porywy i czytasz w nim zarazem zadziwienie i naganę. Poskromiwszy cię, *famulus* wsprowadza z uszanowaniem do gabinetu pana szczęśliwego śmiertelnika, dla którego skończyły się już męki oczekiwania.

Następnie z jakimże to namaszczeniem i pełnem poszanowania współczuciem, wyprowadza cię gdy już poradziłeś się wyroczni, zachowanie jego zdaje się mówić ci że równie dobrze jak pan jego zna twój wewnętrzny mechanizm i wyraźnie zdaje się ubolewać nad tobą że tenże w tak złym znajduje się stanie.

I Wheler nie stanowił wyjątku od tej powszechnej reguły; był milczący, sztywny, poważny; zdało się że każdy dzień jest dla niego dniem pogrzebu, każdy przychodzący po radę chory, nieodwołalnie skazanym na śmierć. W gruncie miał najlepsze chęci, chciał urobić się odnośnie do zajmowanego stanowiska, ale powiedzcież czy ktoś nowoprzybyły i nie wiedzący o wielkiej praktyce i głośnej w Rockborough sławie jego pana, nie mógłby wnosić o nim z fizyognomii lokaja wyglądającego na karawaniarza, że doktór dostarcza niezliczonego kontygensu nielitościwemu grabarzowi.

Doktór wziął podane sobie listy i trzymając je w ręku rozkazał służącemu aby poprosił do niego pana Austin. Poczem wszedł prędko do sali jadalnej, mówiąc:

— Otóż jestem, i widzicie iż nie bawiłem dłużej niż powiedziałem. Każ nam podać co gorącego,

Maryanno, i powiedz Whelerowi żeby nam przyniósł cygara. Pewny prawie jestem, Bertramie; że siostra moja nie poczęstowała cię tu ani jednem. Och! jak te kobiety nie pomyślą o niczem.

— Ale jakże możesz żądać, Ulryku, abym myślała o czemś podobnem, odrzekła z wyrzutem miss Ford, wychodząc z pokoju.

Doktór rzucił listy na stół i zbliżył się do ognia płonącego na kominku.

— Brzydka i zimna noc Bertamie, rzekł drżąc nieco i wysuwając swe przeziębłe ręce. Dawno już nie było tak mroźnego wiatru, ale zdaje się ucichnie i deszcz padać przestanie, gdyż termometr opada.

— Przecież dziś już nie wyjdziesz?

— O! nie, odrzekł wesoło; zdaje mi się wywiązałem się już dziś z ciążącego na mnie obowiązku; je źli ktoś z chorych koniecznie dziś jeszcze zażąda pomocy, poślę Austin'a, choć żal mi wyprawiać go w takiczas.

To powiedziawszy, podszedł do stołu i odwrócił arę leżących listów. Postrzegł niebawem podłużną niebieską kopertę, na której wydrukowane było: *Telegram.* Zmarszczył brwi, roozdarł kopertę i zaczął czytać.

Bertram widział marsa, zaczął więc wpatrywać się w przyjaciela, chcąc poznać przyczynę niezadowolnienia. Zadziwił się niewymownie, zobaczywszy jak nagle niezadowolnienie to zamieniło się w zimny, cierpki i surowy wyraz twarzy, jakiego nigdy jeszcze nie widział w twarzy przyjaciela.

Szerokie i otwarte czoło Ulryka pokryło się zmarszczkami, oczy, zwykle patrzące tak łagodnie, zasępiły się, a usta zacisnęły; jak u człowieka pragnącego przetrwać straszne męki ciała i umysłu. Lecz zaledwie miał czas dostrzedz tę niezwykłą zmianę i zadziwić się, wyraz twarzy doktora zmienił się, wracając do zwykłego stanu.

Przykre uczucia odbijające się w twarzy doktora zostały stłumione i pokonane, odzyskał panowanie nad sobą i był znów jak zawsze człowiekiem czynu i silnej woli. Jedną ręką pociągnął za sznurek od dzwonka, drugą pochwycił leżący na stole przewodnik informacyjny i znalazłszy w nim czego szukał, zaczął czytać inne listy.

Wheler i miss Ford razem weszli do pokoju.

— Wheler, zawołał doktór, przygotuj mój podróżny tłomoczek i poślej po fiakra który dowiezie mnie do stacyi kolei. Odebrałem telegram wzywający mnie natychmiast; nie wrócę aż jutro rano. Czy posłałeś prosić pana Austin? każ groomowi żeby raz jeszcze poszedł i powiedział że potrzebuję się z nim widzieć nim upłynie dziesięć minut.

— Ulryku! zawołała patetycznym głosem miss Ford. co to ma znaczyć?

Wheler zaś, który nie okazałby najmniejszego zdziwienia gdyby nawet pan jego kazał mu zająć się przygotowaniem do podróży na księżyc, wyszedł spokojnie spełnić odebrane rozkazy.

— Nie ma o czem rozprawiać, odrzekł nieco szorstko doktór, choroba jest ważna i ciężka, wzywają mnie i muszę jechać. Bertramie; dawny mój przyjacielu, dziś nie wiele mogłem korzystać z twego towarzystwa, ale wszak przyjedziesz znów niedługo? Ach! otóż i pan Austin! zawołał, zobaczywszy wchodzącego do pokoju młodzieńca miłej i ujmującej postaci.

— Kochany Austin, za parę minut odjeżdżam koleją; bądź tak dobry zastąp mnie i odwiedź tych dwóch pacyentów. Najpierw dziecię Carver'ów, które ma się gorzej, następnie udaj się do pana Richardson, który prosi abym dziś jeszcze był u niego. Powiedz mu że nadspodziewany wyjazd nie dozwala mi samemu go odwiedzić.

— Czy długo potrwa nieobecność pana?

— Sam nie wiem i nie mogę stanowczo oznaczyć powrotu. Jeźli nie wrócę przed dziesiątą rano, proś doktora Elliot aby odwiedził część moich pacyentów; w biórku mojem znajdziesz notesik z adresami.

— Kabriolet czeka, oznajmił Wheler.

— Dobrze, znieś mój tłomoczek. Zaczekaj tu trochę, Austin'ie, odeślę kabriolet dla ciebie i dla Bertrama. Dobranoc ci, Maryanno, zobaczymy się jutro, poczem skłoniwszy się wszystkim, doktór opuścił pokój.

Trzy pozostałe w nim osoby miały bardzo zakłopotane miny.

Ulryk tylko co tak stanowczo oznajmił że już nie ruszy się z domu, a przecież wyjechał tak nagle nie dziw więc że wyjazd ten niemile zadziwił wszystkich.

— Gdzie on pojechał? zapytał Bertram pana Austin; przysuwając się do kominka i pijąc grok którego doktór nie miał czasu skosztować.

— Nie wiem, odrzekł młody doktór, wzruszając ramionami. A pani, miss Ford?

— A skądże mogłabym wiedzieć, odpowiedziała.

— Szczególna rzecz! rzekł Bertram.

— Sądzę że znając od tak dawna doktora Ford, nic w nim nie powinno pana dziwić ani wydać się *szczególnem.*

— Choć tak dawno się znamy, nigdy nie byłem wtajemniczony w nic co tylko odnosi się do jego zawodu. Pod każdym innym względem był ze mną dość otwartym.

— A cóż pani myślisz o jego wyjeździe, miss Ford?

Trzeba wiedzieć że jakkolwiek miss Ford dumną była ze swego brata, lubiła jednak uskarżać się na jego urojone względem niej przewinienia, z których za najgłówniejsze uważała brak zaufania. Ani podstępem, ani pieszczotami lub wyrzutami nie mogła nigdy dowiedzieć się od niego gdzie bywał, co widział i co myślał o ludziach — były to niedostępne dla niej tajemnice,—a że obdarzona była wielką dozą kobiecej ciekawości, więc brała to sobie za osobistą zniewagę.

Pan Austin znał tę słabostkę miss Ford, i zadając jej powyższe pytanie, pewny był że wyciągnie ją na słówka.

— Co ja o tem myślę? oto że pan Bertram nie powinien się dziwić że Ulryk jest tak skrytym względem swoich przyjaciół, skoro nie zwierza się nigdy z niczem mnie, rodzonej swojej siostrze. Czyż mówi panu kiedy, panie Austin, do kogo i po co był wzywany? gdzie był i co robił?... A gdy w przeszłym roku umarła najlepsza moja przyjaciółka, Henrieta Bruce, Ulryk przyszedłszy do domu zasiadł spokojnie do obiadu jakby nigdy nic, i pewnie nie dowiedziałabym się o tym smutnym wypadku, gdyby nie to że miałam zwyczaj sama codziennie chodzić zapytywać o jej zdrowie. Od owego czasu czytuję regularnie gazetę miejscową, w której podają zawsze kto się urodził i kto umarł w ubiegłym tygodniu, gdyż mogłoby się to każdemu dziwnem wydawać, żeby siostra doktora nie wiedziała o tem. Ale brat mój ma różne swoje dziwactwa, i nie chciałabym aby słyszał w jaki sposób wiele osób wyraża się o nich.

I uroczyście kiwając głową wypowiedziała uwagi wielu *dobrych* przyjaciółek. Sprawiało jej to pewną przyjemność że może rzucić kamykiem w nieobecności Ulryka, skoro nie miała odwagi powiedzieć mu tego w oczy.

Dojechawszy do dworca kolei, doktór zajął miejsce w wagonie pierwszej klassy. Był w nim sam jeden i miotały nim uczucia z których nie mógł jeszcze zdać sobie sprawy. Czas jakiś zatonął w zadumie; po chwili wyjął prędko z kieszeni odebrany telegram. Papier był mocno zgnieciony; rozłożył go starannie na kolanach i kilkakrotnie przesunął po nim ręką, poczem zaczął czytać uważnie, jak gdyby chcąc się przekonać czy dobrze przeczytał pierwszym razem. Ale nie, nie omylił się ani co do adresu ani co do treści. Dzięki wielkim literom urzędowego pisma, mógł czytać pomimo niedostatecznego oświetlenia.

„Od mistress Fleming—z Saltpool.
Do doktora Ford—w Rockborough.“

„Jestem umierająca i opuszczona od wszystkich. Jeźli rzeczywiście kochałeś mnie kiedykolwiek, przybywaj natychmiast. W tobie jeduym ostatną pokładam nadzieję.“

I nie mógł oderwać oczu od tego telegramu, jak gdyby te martwe litery mogły powiedzieć mu coś więcej o tej co go przyzywała. Te parę wierszy nagle całą przeszłość przywiodły mu przed oczy... Zgniótł znowu papier i schował go do kieszeni, poczem wsparł głowę o wysłanie wagonu, zamknął oczy i w głębokiej zatonął zadumie.

IV.

Śmiertelne łoże Cecylii.

— *Saltpool! Saltpool! Saltpool!* wołał donośnym głosem konduktor, biegnąc wzdłuż linii zatrzymanych wagonów.

Doktór Ford wstał ze swego miejsca i oddał rzeczy posługaczowi. Przez trzygodzinną drogę, nie dopuścił aby sen skleił jego powieki, umysł jego zresztą za nadto był czynny, aby wymagania ciała mogły zapanować nad nim. Jednakże zamyślenie jego tak było głębokie i natężone, iż wychodząc z wagonu zamknął i otworzył oczy, zachwiał się na stopniach, słowem wyglądał jak człowiek nagle z pierwszego snu zbudzony.

Było po północy; noc była bardzo czarna, ale deszcz ustał, a podmuchy zimnego wiatru zapowiadały przymrozek nad rankiem. Rozległ się świst lokomotywy, pociąg ruszył i znikł w ciemności. Doktór pozostał zamyślony na odkrytej platformie, wystawiony na przykre powietrze; nogi jego grzęzły w gęstem błocie zalegającem przestrzeń, ale był tak zamyślony że tego nie widział i nie czuł. Obudziło go nareszcie z zadumy zapytanie urzędnika stojącego w progu.

— Czy pan oczekuje kogo?

— Nikogo, odrzekł; czy daleko stąd do Saltpool?

— Nie dalej jak półtory mili, ale droga niegodziwa.

— Czy można nająć jakiś powóz aby mnie tam odwiózł.

— W Saltpool tylko możnaby go dostać, ale na nieszczęście nie mam kogo posłać aby tam wynajął.

— A! kiedy tak pójdę piechotą. Czy nie mógłbyś pan objaśnić mnie jaką się udać drogą.

— Idź pan prosto tą oto drogą, rzekł wskazując

na prawo, a niezawodnie nie zbłądzisz, bo wprawdzie wązka to tylko ścieżka, ale z obu stron otoczona płotem. Doszedłszy do końca, zwróć pan na lewo, a wejdziesz na główną ulicę wioski.

To powiedziawszy urzędnik wszedł do dworca i usiadł przed rozpalonym na kominku ogniem, a doktór Ford brnął po błocie idąc we wskazanym kierunku.

Ciężkie to zadanie iść o północy ścieżką boczną po której grzęźnie się w błocie: podczas burzliwej marcowej nocy, choćby ktoś nawet dobrze znał drogę; a cóż dopiero dla obcego, nie wiedzącego czy co krok nie grozi niebezpieczeństwo lub nieprzyjemność, i to w okolicznościach tak ważnych, nie wiedzącego jak długo potrwa ta męka, mogąca zniechęcić najodważniejszego i najcierpliwszego przywieść do przeklinania tak ciężkiej doli. Jednakże usta doktora nie wyszeptały najlżejszej skargi; zanadto był oswojony z trudnościami życia aby się miał troszczyć o jakieś przypadkowe nieprzyjemności, a jeźli pomyślał o przymusowej po takiej drodze przechadzce, to tylko aby powinszować sobie że deszcz ustał, co nie mało ułatwia mu jej odbycie.

Jakkolwiek jako doktór Ulryk nawykł do nagłych i nieprzewidzianych zawezwań, dziś jednak trudno mu było ochłonąć z silnego niespodziewanego wrażenia, gdyż sprzecznie z wnioskami siostry i przypuszczeniami przyjaciół, nie zapomniał on przeszłości, i brodząc w błocie po nierównej drodze, myśl jego odnosiła się do owego czasu, kiedy spodziewał się że Cecylja Halsted będzie jego towarzyszką życia i zamknie mu powieki. Upłynęło lat czternaście od chwili gdy straszny cios ugodził w jego serce, gdy dowiedział się że kobieta którą ukochał przeniewierzyła mu się i zdradziła go niegodnie. Od owego czasu nie widział jej ani razu, nigdy nie pisał do niej i nie wymawiał jej imienia, chyba w razie koniecznej potrzeby.

Odebrał jednak od Cecylii parę listów, niedługo po jej zamążpójściu, w których starała się wytłómaczyć swoje postępowanie—ale podawane usprawiedliwienie było słabe i bezzasadne. Ulryk z pogardą rzucił listy zdradzające uczucia za nizkie dla wzniosłego jego charakteru,—i odtąd nader rzadko dowiadywał się czegoś o przedmiocie swojej tak wielkiej miłości.

Rodzice i rodzina Cecylii, unikali najmniejszej o niej wzmianki; była to kwestya nader drażliwa tak dla niego jak dla nich, — a zresztą rzadko bardzo i nieregularnie miewali wiadomości od córki. Ulryk wiedział tylko że Cecylja żyje i nie pytał o nic więcej. Co mnie już może obchodzić czy żyje czy umarła? powtarzał sobie często, i przy sposobności byłby powtórzył to każdemu — ale tak myśląc biedny oszukiwał sam siebie, gdyż uczucie które uważał za wygasłe, tlało jeszcze w jego sercu.

Ulryk Ford nie lubił zwierzać się ze swych cierpień i nawet najbliższemu przyjacielowi nie odkrywał bolesnej rany krwawiącej jego serce, a z tego dumnego milczenia tak krewni i przyjaciele jego wywnioskowali że jest zupełnie nieczułym, niedostępnym dla wszelkich cierpień moralnych. Gdyby jednak ci wszyscy tak powierzchowne wydający sądy, mogli zajrzeć w głąb jego duszy, niepomiernie zostaliby zdziwieni, ujrzawszy głęboką toczącą ją ranę—ale nikt o tem nie wiedział, sam tylko Bóg znał tajemne jego cierpienia.

Nikt nie domyślał się nawet strasznych męczarni moralnych na jakie skazał go doznany zawód, i jego nocy bezsennych i dziennych niepokojów: walki jakie staczał z sobą gdy wspomnienie tej kobiety zatruwało mu spokój krótkich chwil wolnych od poważnych jego zajęć. W ostatnim razie walka była ciężką i bolesną: musiał siłą woli tłumić wrażenia, zapanować nad niemi, aby módz ześrodkować całą myśl i uwagę na przedmiota odnoszące się do jego zawodu, Słowem, człowiek ten przecierpiał tak wiele, iż zdawało się postradał zdolność cierpienia, jak gdyby fibry serca jego były wypalone; — ale, niestety! te niezasłużone cierpienia pozbawiły jesz cze jedynej pociechy, wydarły mu wiarę oraz ufność w mądrość i sprawiedliwość Bożą.

Są charaktery dla których równie niepodobno jest wydrzeć z serca głębokie i namiętne uczucie, jak wyrwać wielki dąb który głęboko w ziemi stare zapuścił korzenie. Lecz jeźli Ulryk zmuszony był przyznać sam przed sobą iż niepodobna mu zatrzeć w sercu obrazu Cecylii Halsted, miał przynajmniej odwagę postępować jak gdyby rzeczywiście zapomniał o niej, i pod tym względem nałożył sobie bardzo surowe prawa. I dla tego nigdy nie pragnął jej zobaczyć, i trzeba było żeby chodziło o jej śmierć czy życie, aby bez wahania pobiegł na jej ratunek. Odebrawszy telegram podyktowany umierającemi ustami tej którą kochał tak bardzo, i to właśnie gdy brzmiały mu jeszcze w uszach słowa lady Vivian—mógłże się wahać?... on który nigdy nie był głuchym na wezwanie opuszczonych i nędzarzy, mógłże nie pośpieszyć na pomoc kobiecie która miała być jego żoną a która wkrótce do nikogo już należéć nie będzie?. .

Zajęty uczuciami ścierającemi się w jego sercu i myślami zajmującemi umysł, ani się spostrzegł że doszedł do Saltpool, i minąwszy pochyłą, brukowaną uliczkę znalazł się wśród wioski. Daremnie jednak śledził wzrokiem okna domku czy w którem nie błyszczy światło, wszystkie w zupełnej pogrążone były ciemności. Widać mieszkańcy Saltpoolu mieli rozumny zwyczaj wczesnego udawania się na spoczynek; nareszcie przecież udało się doktorowi dojrzéć szyld znamionujący oberżę.

Głośne wołanie i pukanie do drzwi zajazdu, zbudziły nareszcie gospodynię która wybiegła z rozczochraną głową, a za nią ukazał się na wpół ubrany służący. Gdy doktór oznajmił cel przybycia, gospodyni kazała służącemu zaprowadzić go do mieszkania pani Fleming, a zwracając się do Ulryka, dodała:

— Musiałeś pan przeziębnąć w drodze; czem mogę służyć?

Doktór podziękował za wszystko, prosił tylko aby przygotowano dla niego pokój a nazajutrz rano śniadanie, Polecenie to rozpogodziło zachmurzone czoło gospodyni.

— Czy nie mogłabyś pani powiedziéć mi który doktór leczy panią Fleming?

— I owszem. Jest to pan Burrel, nasz doktór wioskowy, równie dobry doktór jak doktorzy londyńscy.

— Gdzie mógłbym go teraz znaleźć? potrzebuję się z nim widzieć.

— Niezawodnie jest u tej chorej pani, która dziś cały dzień była daleko gorzej. Właścicielka domu w którym ona mieszka, była tu właśnie przed paru godzinami i powiedziała mi że biedaczka pewnie nie przeżyje nocy.

— Muszę iść do niej jak najprędzej: niech służący zaniesie moją torbę, może mi będzie potrzebna.

Wybiegł z zajazdu poprzedzony przez służącego z latarką stajenną, i niezadługo stanęli przed domem p. Mitchel. Widać ktoś czuwał przy drzwiach wchodowych, bo zaledwie lekko poruszono klamką, otwarły się natychmiast i wiejska dziewczyna wprowadziła doktora do małego pokoju.

— Czy jest tu pan Burrel? zapytał.

— Tak panie, tam na górze.

— Oddaj mu mój bilet i powiedz że pragnę z nim pomówić.

W parę minut potem wpadł do pokoju nizki mężczyzna, na którego twarz żywe wystąpiły rumieńce, świadczące o wzruszeniu jakie wywołał zaszczyt iż ma konsultować z najsłynniejszym doktorem z Rockborough.

Po przywitaniu, doktór Ford oznajmił cel swego przybycia, tak poważnie i spokojnie iż niepodobna było dopatrzéć miotających nim uczuć.

— Zapewnie wiadomo koledze, mówił, iż dziś wieczorem odebrałem telegram od mistress Fleming donoszący mi o ciężkiej jej chorobie i przyzywający mnie natychmiast.

— Wiem o tem, odrzekł pan Burrel; i jak tylko mistress Fleming oznajmiła mi że pragnie koniecznie widzieć się z panem, nalegałem aby jak najśpieszniej wysłała telegram. Boję się jednak czy nie zapóźno pan przybyłeś, i czy to nie będzie ostatnia i jedyna jej pociecha.

— Na co jest chora?

— Obecnie dostała bardzo mocnego zapalenia płuc, które zapewnie doprowadzi ją do grobu, ale zdrowie mistress Fleming już oddawna jest bardzo wątłe, ciągle była słaba i cierpiąca.

Zasiedli przy stole i zaczęli mówić o chorobie mistress Fleming z najdrobniejszemi szczegółami. Podczas tej narady Ulryk Ford zdaje się zupełnie zapomniał o sobie i całkiem oddany obowiązkom swego zawodu, rozmawiał poważnie i systematycznie o najdrobniejszych symptomatach choroby, z takim spokojem i zimną krwią, jakby chora zupełnie była dla niego obojętną.

— Przeniosła bardzo wiele moralnych i fizycznych cierpień. rzekł w końcu pan Burrel, a na nieszczęście zbrakło jej mocy duszy lub jakiegoś moralnego bodźca do walki z cierpieniami i chorobą.

— Nie wiedziałem nic o jej chorobie, rzekł Ford, co prawda nie widziałem mistress Fleming już od lat wielu.

— Dowiedziawszy się że pan jesteś jej krewnym, zadziwiłem się bardzo że nie zawezwała go prędzej, rzekł doktór wiejski.

— Rzeczywiście źle zrobiła, gdyż byłbym pośpieszył na jej wezwanie, odrzekł spokojnie.

Doktór wiejski podziwiał prostotę i uprzejmość sławnego swego kolegi.

— Odbyłeś pan niemiłą i nużącą podróż; gdybym przewidział przybycie pana, byłbym posłał powóz do stacyi. Czy mogę koledze służyć czemkolwiek, lub też chcesz zaraz pójść do chorej.

— Pragnąłbym odwiedzić ją zaraz, jeźli może mnie przyjąć.

— Gdym odchodził nie miała zupełnej przytomności, mówił p. Burrel idąc po wschodach prowadzących na pierwsze piętro. Cały dzień prawie miała malignę, opuszczała ją jednak czasami; jestem pewny że pana pozna jeźli teraz jest przytomną. A zwracając się do kobiety spotkanej u drzwi pokoju chorej, zapytał:

— Jakże się ma mistress Fleming, pani Mitchel?

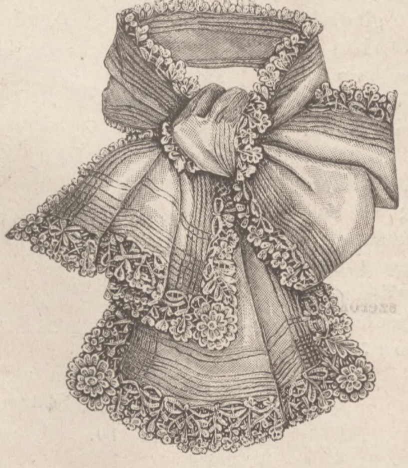
— Bardzo niedobrze; nadzwyczaj jest osłabiona i mówi od rzeczy. (d. c. n.)

Opis do N-ru 35.

(*Dokończenie*).

N. 20—21. Zasłonka z cienkiej tektury do zawieszenia na lampie. Forma i deseń na Fig 28.

Nader praktyczna zasłonka dająca się na

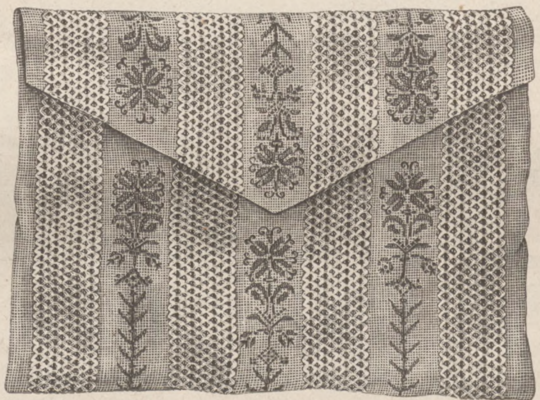


N. 1. Krawatka szalikowa oszyta koronką „points".

każdej lampie przywiesić, ma tę zaletę iż daje cień osobom cierpiącym na oczy, a nie przyciemnia światła. Na fig. 28, dajemy połowę formy i deseniu w naturalnej wielkości; materjał stanowi cienka, glansowana tektura w kolorze orzechowym i blado żółtym i fular zielony. Deseń rysuje się na lewej stronie tektury i wyrzyna ostrym nożykiem, na podłożonej deseczce; ramkę brzeżną, ciemniej na deseniu oznaczoną wycina się od-



N. 3—4. Ubranie z vetement dla dziewczynek lat 7—9. Krój N. III fig. 12—17a.



N. Torebka na bieliznę nocną. Robota krzyżowa na kanwie kongresowej i na „gaze etamine". Patrz spód na ryc. 6.



N. 6. Torebka na bieliznę nocą. Patrz część zwierzchnią na ryc. 5.

dzielnie z tektury ciemniejsze i przykleja do spodu gumą do jasnej części środkowej na deseniu oznaczoną wycina się oddzielnie z tektury ciemniejszej i przykleja od spodu gumą do jasnej części środkowej. Następnie podkleja się całą zasłonkę zielonym fularem. Miejsca ażurowo wycięte oznaczone są krzyżykami na deseniu, a na ryc. 20 ciemniej występują. Cienkie obwódki rysuje się odręcznie piórem stalowem sepją; haczyk zrobiony z druta mosiężnego przyszywa się mocno do kawałka tektury a następnie przykleja do zasłonki.

N. 22—23. Rękawiczki do konnej jazdy lub do podróży.

W miejsce rękawiczek ze stylpami, dzisiejsza moda każe używać do konnej jazdy i do podróży długich na trzy guziki zapinanych rękawiczek duńskich (z psiej skóki) koloru żółtego albo czerwonawo orzechowego.

N.24. Majtki do konnej jazdy. Krój N. VII Fig. 38—38a.

Ryc. 24 przedstawia majtki wązkie do konnej jazdy przeznaczone, które odrobić można ze zwykle używanych na bieliznę, albo z trykotowego materjału. Majtki powinny zachodzić pod pończochę i dochodzić aż do kostek.



N. 2. Szeroka szalikowa krawatka oszyta frendzlą.

Z powodu swej długości forma majtek składa się z dwóch części, które złączyć trzeba podług jednakowych znaków.

N.25. Siatka do much dla koni powozowych.

Robota szydełkowa z nici grubych szarych lub białych. Forma połowy ucha płóciennego Fig. 57.



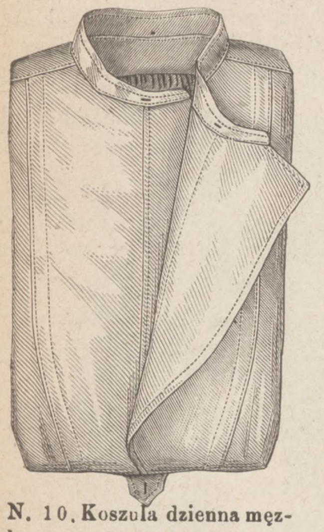
N. 7—8. Ubranie dla piastunki i dla dziecka. Forma deseń czepeczka dla piastunki fig. 62. Krój pelerynki dla dziecka N. XI fig. 54—55a.



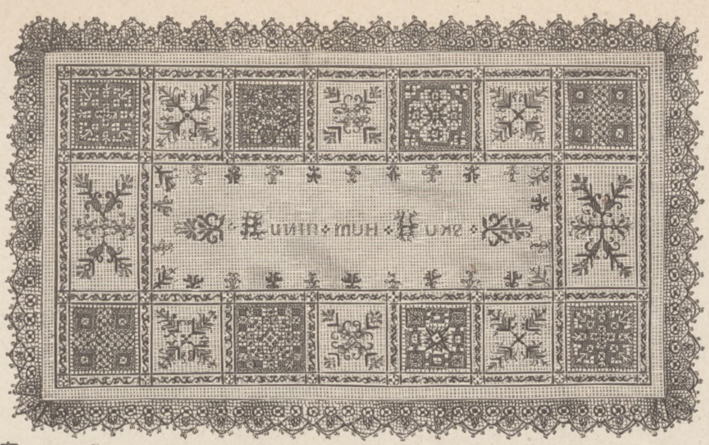
N. 9. Amazonka. Patrz ryc. 39. Krój N. VI fig. 30 do 37.

N. 26. Poduszka do kanapy

Robota *petit-point* na cienkiej nie dzielonej kanwie. Deseń środkowy zajmujący 18 cent. w kwadrat; które odrobić trzeba włóczką hamburską rozdzieloną kolorami nikłemi, cieniem zielonym, orzechowo bronzowym, lila i łososiowym, a tło zarobić jedwabiem paljowym. Zatem pomiędzy 1 cent. szerokiemi paskami drzewno orzechowemi do cieniu, zrobiony jest szlak 8 cent. szeroki z kwiatów i owoców, robiony takiemiż jak środek kolorami, na tle ciemniejszem żółtem. Z brzegów dany drugi szlak 6 cent. szeroki do którego roboty dodany cień żółty a tło zarobione włóczką ciemno ponsową.



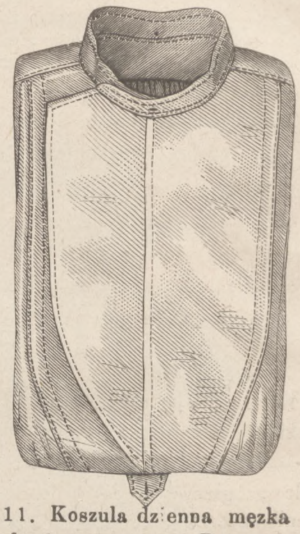
N. 10. Koszula dzienna męzka z podwójnym gorsem. Patrz ryc. 11. Krój N. XII fig. 56.



N. 12. Serwea na środek nakrytegotstołu. Robota krzyżowa i siatka gipiurowa.

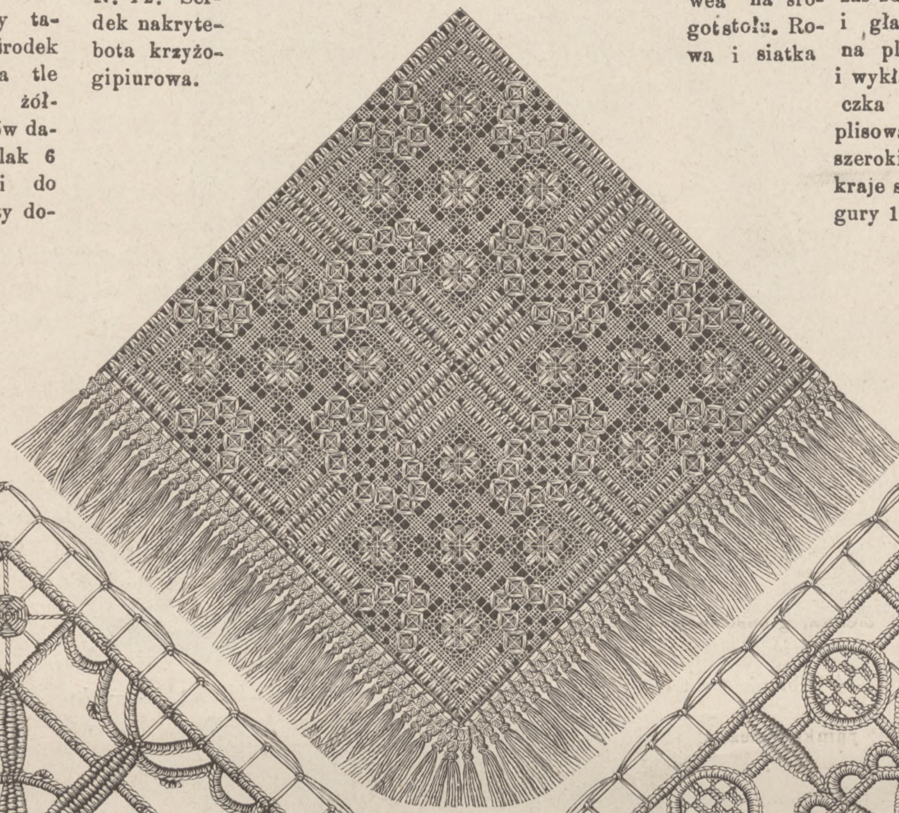
N. 3—4 Sukienka z vetement dla dziewczynki lat 7—9. Krój na arkuszu N. III, Fig. 12—17a.

Ryciny 3 i 4 przedstawiają przód i plecy sukienki którą można odrobić z materjału wełnianego lub letniego do prania, gładkiego czy deseniowego. Przy sukience gładkiej dane są szlaki z wyszyciem krzyżykowem, deseniową zaś zdobią koronki i gładki materjał na plisy, kołnierz i wykłady; spódniczka zakończona plisowaniem 20c szerokim. Vetemen kraje się podług figury 12 do 17, dopełniając długość, i szerokość podług miar wyszywanych na formie; w plecach zbywająca szerokość nadmarszcza się przy szyi do 11 w pasie do 10 cent.

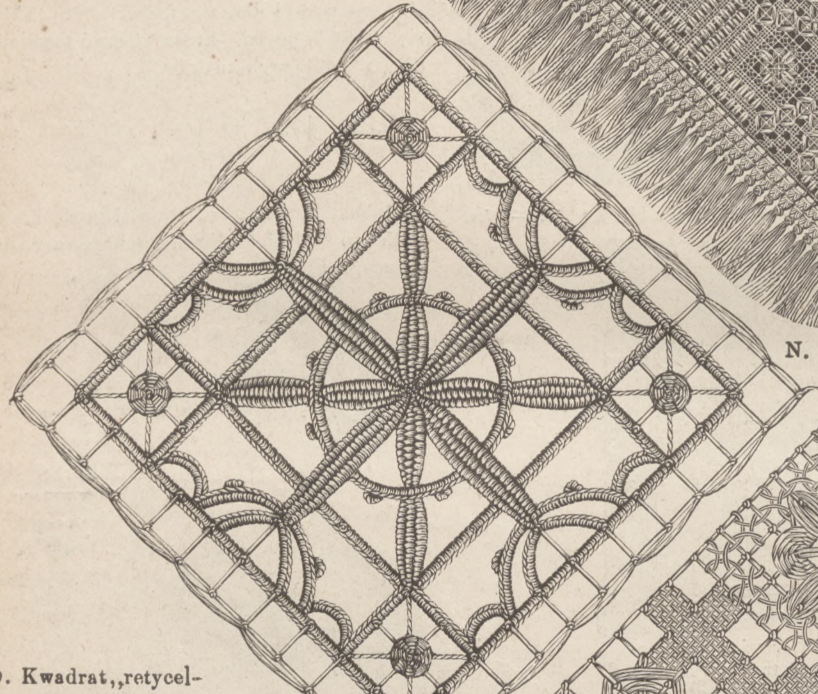


N. 11. Koszula dzienna męzka z podwójnym gorsem. Patrz rycina 10.

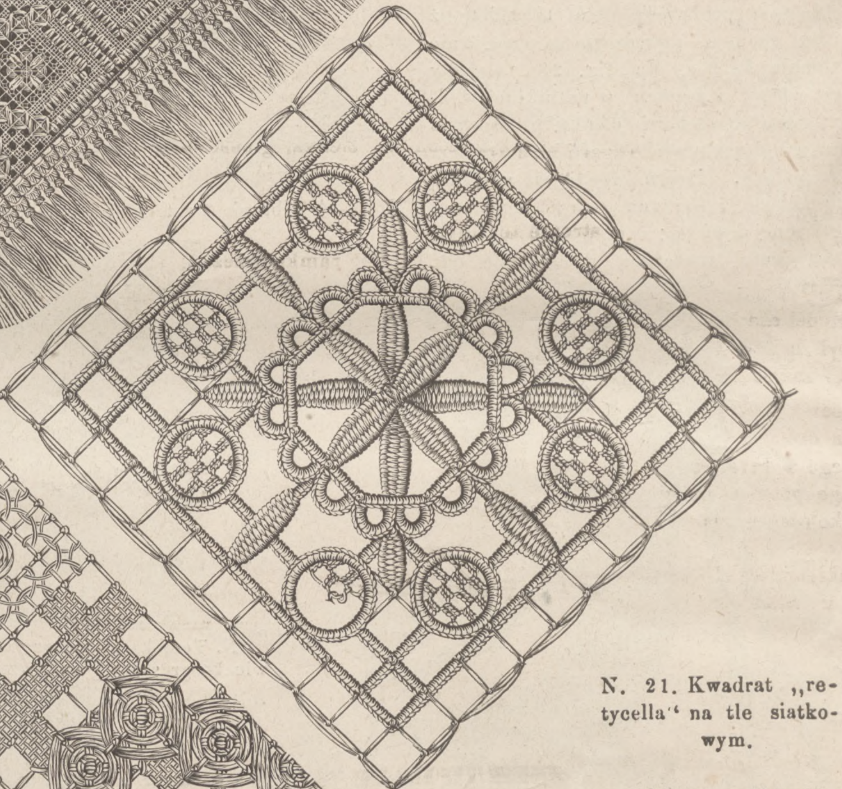
* N. 18. Serwetka siatkowa. Patrz ryc. 19.



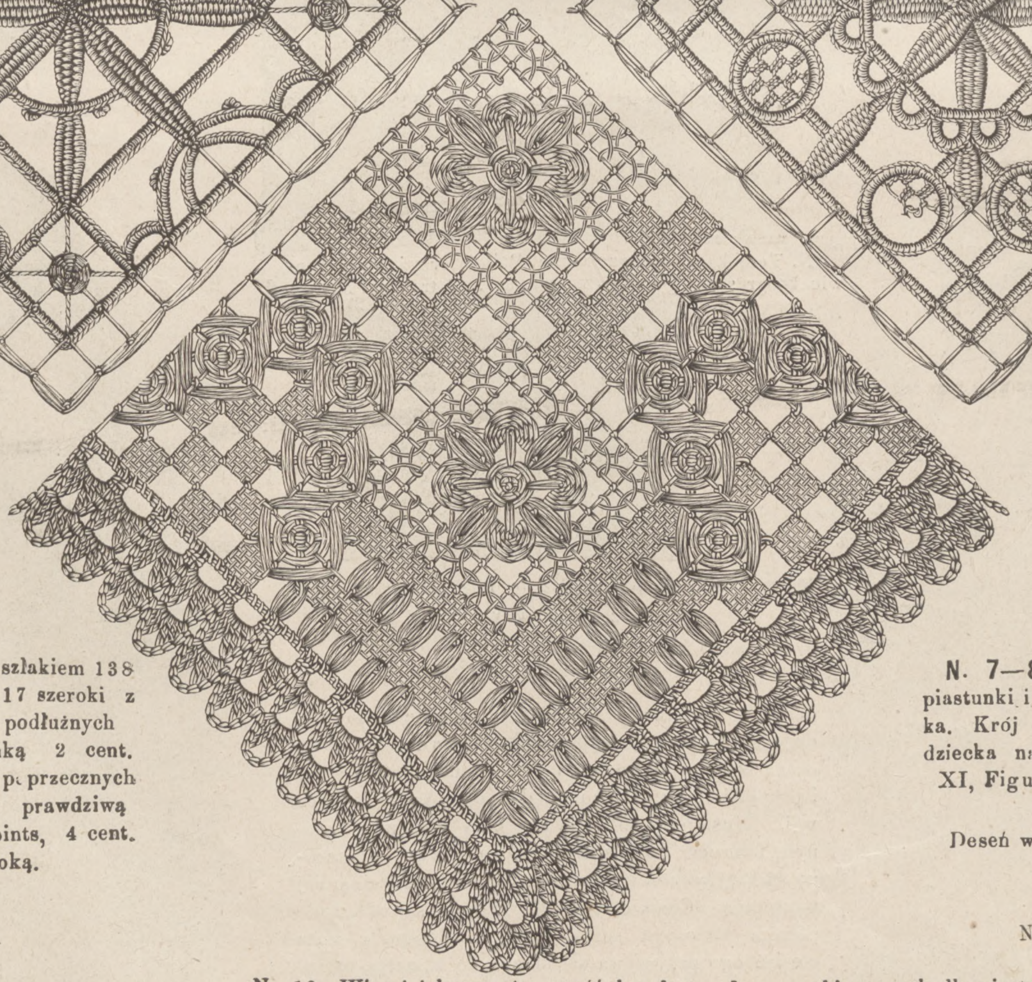
N. 18. *



N. 20. Kwadrat „retycella" na tle siatkowem.



N. 21. Kwadrat „retycella" na tle siatkowym.

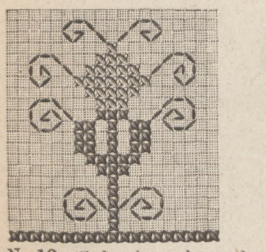


N. 19. Więcej jak czwarta część kwadratu do serwetki siatkowej ryc. 18.

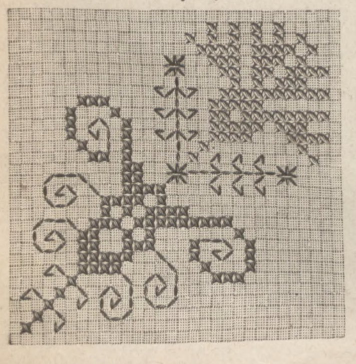
Opis do N-ru 36.

N. 1. Krawatka szeroka oszyta koronką.

Stanowi ją kawałek ienkiego białego batystu z kolrowym szlakiem 138 cent. długi, 17 szeroki z brzegów podłużnych oszyty koronką 2 cent. szeroką a z poprzecznych zakończony prawdziwą koronką points, 4 cent. szeroką.



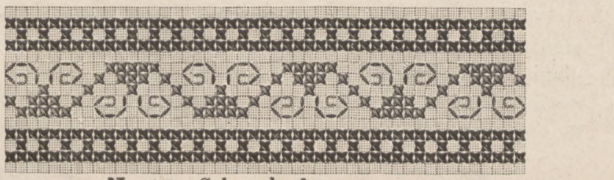
N. 13. Gałązka robotą krzyżową do serwety ryc. 12.



N. 15. Gałązka skośna na narożnik i na kwadrat do r. 12

N. 2. Krawatka zakończona frendzlą.

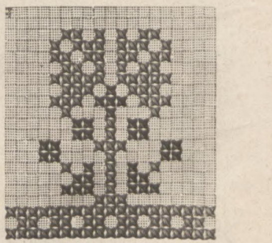
Kawałek materji jedwabnej ciemno ponsowej, 120 ct. długi a 16 szeroki stanowi krawatkę, zakończoną wspaniałą jedwabną frendzlą nad którą dany szlak haftowany na jasnej materji i szeroka koronka. Brzegi podłużne szyte wązką koroneczką.



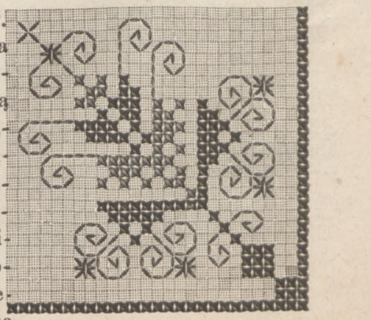
N. 17. Szlaczek do serwety ryc. 12.

N. 7—8. Ubranie dla piastunki i małego dziecka. Krój pelerynki dla dziecka na arkuszu N. XI, Figura 54—55a.

Deseń wyszycia na czepeczek dla piastunki Fig. 62. Krótka spódnica i stanik dopełniony fałdowanem karoczkiem mogą być szyte w jednym ciągu lub oddzielnie spódniczka może być z grubego wełnianego materjału z aksamitnemi plisami, staniczek i karoczko z jasnego kolorowego perkalu. Można taką spódniczkę zrobić per-



N. 14. Gałązka robotą krzyżową do ryciny 12.



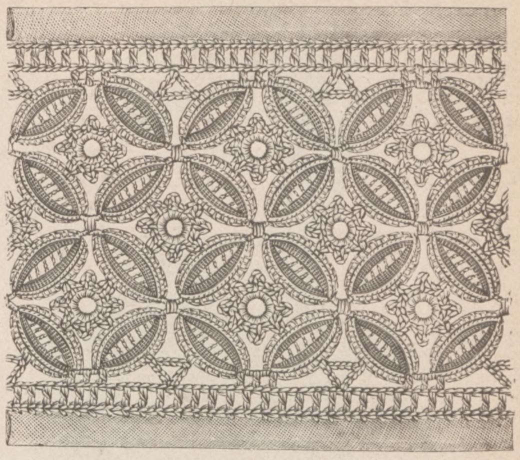
N. 16. Narożnik i część kwadratu do ryc 12. Robota krzyżowa.



N. 23. Część deseniu wstawki ryc. 22. Haft dzierganу.



N. 22. Wstawka gipiurowa. Haft dziergany. Zobacz część deseniu w naturalnej wielkeśəi cyc. 23.



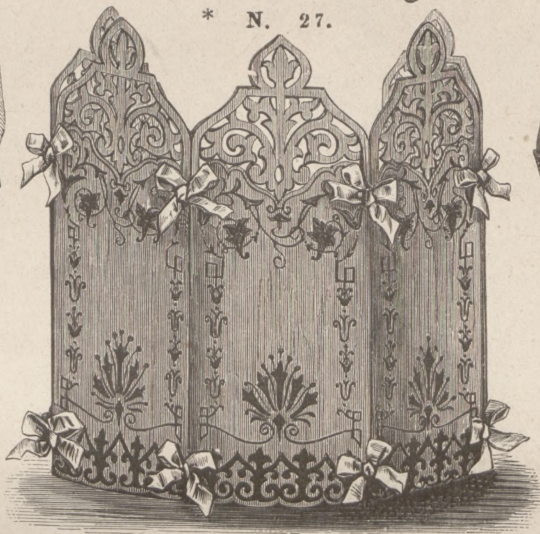
N. 24. Wszywka z tasiemeczki medaljonowej spajanej szydełkiem. Patrz ryć. 25.



* N. 27. Woreczek do robot w kształcie sakiewki. Deseń wyszycia fig. 59. Patrz ryc. 26.



N. 28—29. Fartuszek bluzkowy dla małego dziecka. Krójna arku szu N. V fig. 24—26.



N. 32. Parawanik do zastawiania swiatła w sypialnym pokoju. Wyrzynanie i malowanie na drzewie. D5seń na arkuszu fid. 29.

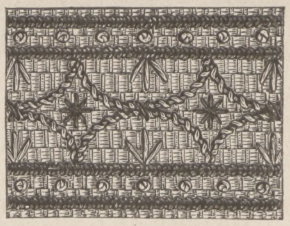


N. Ubraanie dla chłopczyka Krój na arkuszu N. IX fig. 44—48.

kalową gładką a stanik deseniowy. Dopełnienieubrania stanowi długi biały fartuszek z półbatystu lub perkalu mniej lub więcej przyozdobiony haftem, robotą szydełkową. wywodzeniem na tiulu albo koronką nicianą Szyje go się z prostego bryta 82 cent długiego 'a 112 szerokiego, brzeg dolny i boki są zaobrąbione a górny zmarszczony drobniutko i wszyty w pasek związany na tasiemki. Model ozdobiony był haftem 30 cent. szerokiem.

Czepeczek składa się z płaskiego tiulowego denka ozdobionego haftem podług. Fig. 62, oszytego z brzegów agremanem i ogarnirowanego potrójną riuszą; z tyłu dodane końce z kolorowej wstążki, 8 cent. szerokie po 100 cent. długie.

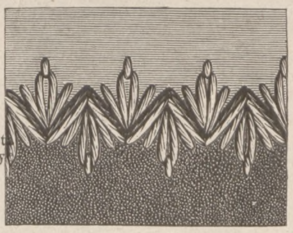
Sukieneczkę dla małego dziecka podaliśmy w dawniejszych tegorocznych numerach, dziś zaś dajemy bardzo praktyczną pelerynkę która może zastąpić płaszczyk; fig .54—55 wskazuje krój pelerynki.



N. 33. Szlaczek do ryc. 8 w N. 35.



N. 25. Robota pajączka do ryc. 24.



26. Szlaczek do ryc. 27.

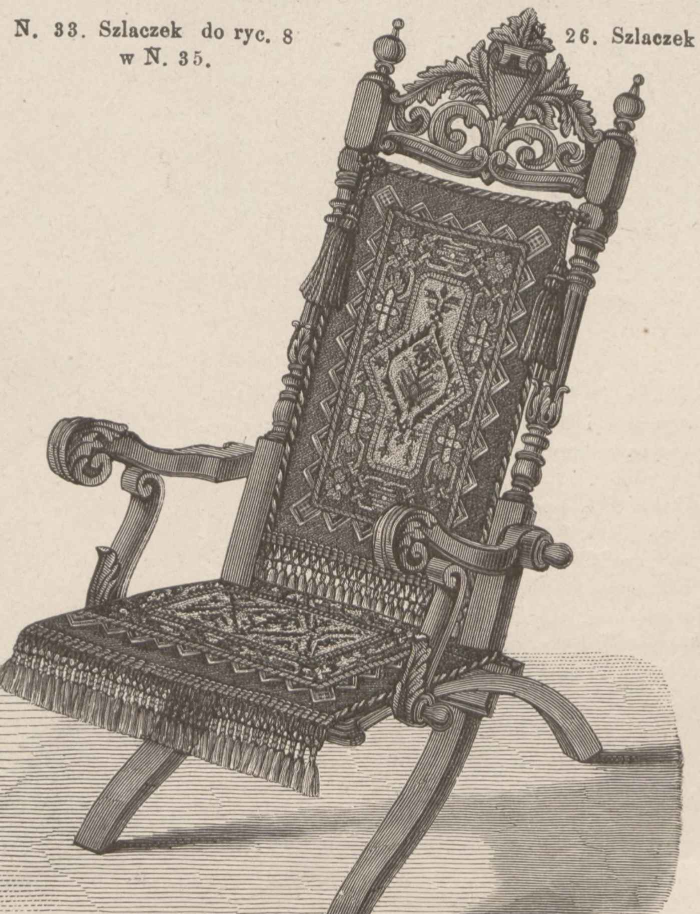
N.9 i 39. Ubranie do konnej jazdy

Krój na arkuszu N. VI, Fig. 30 do 37.

Najodpowiedniejszym na amazonki materjałem jest cienkie sukno granatowe lub ciemno zielone; długą baskinę niepraktyczną przy staniku do konnej jazdy zastępuje kina odcinana krótka z przodu i na biodrach a z tyłu przedłużona w rodzaj fraka. Fig. 30 — 36 podają krój stanika przedstawionego z przodu i z tyłu na ryc. 9 i 39; przody i boki dopełnione są baskiną przyszytą od *E* do *F* i dopiero zszyte z plecami od G do *H*; środkowe części pleców u dołu baskiny zachodzą na siebie i są zastębnowane od *K* do gwiazdki. Wązkie rękawy zapięte są przy szwie zwierzchnim na guziczki od *Q*- Z tyłu od spodu koroczka przyszyte są płaskie guziczki za które przypina się go do sukni, aby nieodskakiwało podczas jazdy. Przybranie stanika stanowią małe okrągłe guziczki i sutasz wełniany naszyty kilkoma rzędami. Spódnice do amazonek utrzymały się z mniejszemi trenami jak dawniej i zaokrągleniem na szwach tworzącem



N. 34 Suknia ze stanikiem przemarszczanym.



N. 36. Fotel ozdobnie rzeźbiony z poduszkami haftowanemi.



N. 35. Suknia biała muślinowa.

wypukłość na kolanach. Fig. 37 wskazuje krój i podaje miary długości i szerokości, dopasowanie jednak formy amazonki w naturalnej wielkości wymaga dużej w prawyw kroju, dla tego niewprawnym czytelniczkom radzimy kupic gotową formę. Zaszycia poprzecznie odznaczone przy szwach boczych tworzą wypukłoćć nakolana. Na 15 cent. odstępu od szwu łączącego brzegi proste w przedniej połowie samazonki dane przecięcie 32 cent. długie, przy tylnym brzegu z którego daua kieszeń 8 cent. szeroka a równolegle do niej przy brzegu bocznym dana kieszeń 16 cent. szeroka a 36 długa, górnym brzegiem przyszyta do paska od sukni, do którego daje się na klinie przecięcie 15 oent. długie. Zapięcie amazonki lekko fałdowanej z tyłu i wszytej w pasek okrągły, z przodu 3 z tyłu $4^1/_2$ cent. szeroka stanowią guziczki dane od spodu i dziurki



N. 37. Zarzutka z pelerynowemi rękawami. Patrz ryc. 38. Krój na arkuszu N. II Fig. 9—11a.



N. 38. Zarzutka z pelerynowemi rękawami. Patrz na ryc. 37.



N. 39. Amazonka. Patrz ryc. 9. Krój na arkuszu N, VI fig. 30—37.

obrąbiona w listewce podszytej przy przednim brzegu przecięcia. Od lewej strony na amazonce przyszyte są kawałki podszewki, odznaczone ciemniej na fig. 37 na której przytwierdzają się końce elastyki $2^1/_2$ szerokiej, obciągające gładką amazonkę. Majtki odpowiednie pod amazonkę daliśmy na ryc. 24 w N. 35.

Kołnierzyk mocno odstający w około szyi; z odwiniętymi rogami krawatka związana na kokardę i kapelusz celinder otoczony riuszą z piór strusich dopełniają ubrania do konnej jazdy.

(*Dokończenie nastąpi*).



N. 40. Suknia ze stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 17 w N. 35. Krój na arkuszu N. I fig. 30—37.



N. 41. Stanik bluzkowy z przybraniem bretelkowem.



Pl. 440.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.